Szlakiem Legionów

Z pamiętników

Generała Dezyd. Chłapowskiego

II.

Wojna 1830—1831

Warszawa
Gebethner i Wolff
Kraków — G. Gebethner i Spółka
1903

Szlakiem Legionów

Z pamiętników
Generała Dezyd. Chłapowskiego

II.

Wojna 1830—1831

Warszawa
Gebethner i Wolff
Kraków — G. Gebethner i Spółka
1903

№ 7490/II

SZLAKIEM LEGIONÓW

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SZLAKIEM LEGIONÓW

Z PAMIĘTNIKÓW GENERAŁA

DEZYDEREGO CHŁAPOWSKIEGO

II.

WOJNA 1830—1831

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1903

93(438) Ц 355.31(438)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Апрѣля 1902 года.

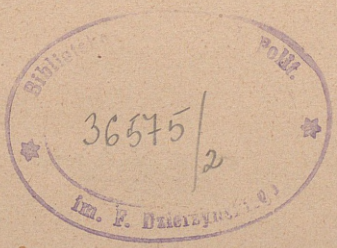

WOJNA 1830—1831 ROKU.

Przed powstaniem 1830 r. nie należałem do żadnego tajnego związku, owszem byłem zawsze im przeciwnym. Związki tajne robią tylko przypuszczenia, które rozdzielają umysły, osoby pojedyncze kompromitują. Nadto trwonią one czas i odbierają śmiałość w działaniu i wpływ, jaki każdy w swoim zakresie mieć może.

Pośrednia droga jawną być powinna. Drogą tą, praca w pokoju, każdy w swym zawodzie nad porządkiem i ładem.

Skoro się o udaniu powstania 29-go listopada 1830 roku dowiedziałem i o tem, że jenerał Chłopicki stanął na jego czele, wyjechałem do Warszawy 8-go grudnia.

Przybywszy do komory na granicy Księstwa, na której znano mię, gdyż tamtędy niedawno kilka razy przejeżdżałem, nie zastałem żadnego urzędnika. Przejechałem tedy granicę, nie zameldowawszy się, bo nie było komu.

Już od Konina zacząłem spotykać posłów, którzy dążyli do Warszawy, gdyż sejm został zwołanym przez rząd tymczasowy i razem z nimi jechałem. Kilku z nich twierdziło, że należy wydać manifest do Europy, dowodzący prawności powstania.

Na stacyach pocztowych było wszędzie mnóstwo obywateli. Ci z posłami rozprawiali, ale prawie wszyscy zaprzeczali potrzeby takiego manifestu.

Takie słyszałem tam rozumowania. Wszyscy zbijali posłów, powstawali przeciw manifestowi, a jednak wkrótce potem na sejmie kilku tych posłów przemogło. Zapisali to w dzienniku sejmowym, jakby tego piórem dokazać było można!

Wjeżdżając do Warszawy 10-go grudnia, spotykałem co chwila dawnych znajomych, którzy mię w powozie poznając, serdecznie witali, jedni już w mundurach, drudzy przynajmniej czapki wojskowe mieli i broń, a wszyscy bez wyjątku kokardy białe.

Wiedziałem już, że jenerał Chłopicki, powołany życzeniem ogólnem, stanął był na czele powstania. Wprost do niego poszedłem, bom go dobrze znał z wojen hiszpańskiej, rosyjskiej i saskiej. Bardzo mię serdecznie przyjął i stanąć u siebie w domu Petyskusa kazał. Kontent był, że może otwarcie z dawnym pomówić znajomym, któremu (jak się wyrażał) tutaj jeszcze nie zawróciło się w głowie. I zaraz zaczął od tego: Nie możemy się bić, ale otrzymamy warunki: zaprowadzenie organizacyi rezerw na wzór obrony krajowej pruskiej, ale na obszerniejszej podstawie, — będziemy mieli prócz wojska, sto tysięcy z górą na zawołanie, — broń dla nich możemy mieć w przeciągu trzech lat, są na to pieniądze i obrachunek zrobiony, — będzie można naówczas tego dokonać, co dziś jest niepodobieństwem. Lubecki i Jezierski pojechali z memi propozycyami do Petersburga.

Jakby mię wodą zimną oblał, i zaraz mu na to odpowiedziałem:

— Cesarz układać się nie może, a w żadnym razie przystać na takie warunki. Ale kiedy jenerał myślisz, że sto tysięcy wojska byłoby dostatecznem do rozpoczęcia wojny, wkrótce je mieć możesz. Jest pod bronią 30.000, dymisyonowanych wraca 20.000, rekrutów można wziąć 50.000, a już ze wszech stron garną się ochotnicy, będzie najszczęśliwszy stosunek, na jednego młodego, jeden stary żołnierz i stanie sto tysięcy. Rosyan więcej przyjść nie

może. Po dwóch wojnach tureckich i cholerze, więcej zebrać nie zdołają.

— Co ty mówisz? — przerwał mi, — przymaszeruje ich trzykroć sto tysięcy, a wiesz co, gdybyśmy mieli trzykroć, a oni tylko sto, jeszcze oni zwyciężą, wiesz dlaczego? oto dlatego, że oni mają cesarza.

Uderzyły mię bardzo te jego słowa, pełne znaczenia. Zrozumiałem jego myśl, a tą było, że monarcha jest rękojmią ładu i posłuszeństwa.

Rozmowy podobne powtarzały się często dni następnych. Słuchał mię niekiedy z cierpliwością. Byłem przy nim pięć tygodni. Widziałem go czasem się wahającym. Sądziłem, że się przekona, iż go wszyscy słuchać chcą i będą. W jednym z tych momentów nakazał formacyę szesnastu pułków piechoty.

Miałem nadzieję, że lubo układów niepodobnych z cesarzem sobie życzy, popchną go okoliczności. Wiedziałem także dobrze, że żaden człowiek zalet wszystkich razem nie posiada, ale Chłopicki miał ich dostatecznie, żeby okolicznościom podołać.

Nie mam daru tłómaczenia się, ani przekonywania, kiedy przez pięć tygodni będąc przy nim, nie potrafiłem go przekonać.

Co dzień patrzałem na czas stracony, widziałem, jak umysły się niepokoiły, podejrzenia wzrastały. Walka ta wewnętrzna, kiedy przez 5 tygodni usiłowałem Chłopickiego przekonać, prawie bez snu przebyte, podkopały mi zdrowie, które mi dopiero w kampanii powróciło.

Podałem na piśmie myśli moje Chłopickiemu [1]).

---

[1]) Dajemy ten list autora do Chłopickiego w oryginale francuskim, podług brulionu, który autor żonie do zachowania z Warszawy posłał i również w polskiem tłómaczeniu.

(Przyp. wydawcy).

le 15 Décembre 1830.

Mon Général!

Comme je vous apporte ce que chaque Polonais sent le besoin d'apporter à son chef, une soummission sans bornes — et que je vois dans la marche de l'organisation une allure vacillante — vous permettez que je vous présente mes idées, comme profession de foi. Je vous promets toutefois, si elles ne coincident pas avec les vôtres, de ne déroger en rien à la soumission nécessaire dans un subordonné.

Toute négociation avec l'Empereur de Russie est impossible. L'impossibilité gît dans lui — dans sa position. Il ne peut qu'accepter une soumission complète et promettre sa clémence.

Les négociations ne peuvent donc être regardées, que comme une ruse de guerre. L'organisation doit marcher avec célerité — pour cela il faut commencer par écarter tous les trop vieux supérieurs de l'armée, qui ne peuvent agir que mollement. Ensuite il faut ordonner à tous les chefs de Régiments de se rendre avec des cadres tirés de leurs Régiments dans les villes de province. Chaque colonel y organiserait une Brigade nouvelle, composée de ses cadres, de soldats retirés du service et de recrues se servant de tous les effets qu'ils ont dans leur magasin.

Le commandement des anciens Régiments doit être remis à des officiers, qui possèdent la confiance de leurs corps. Si ces officiers ne se trouvent pas les plus anciens après le Colonel, on peut employer les anciens pour la formation des réserves. Il faut tout de suite former un ministère de la guerre simple et expéditif et le placer à côté du Dictateur, de même un major général avec un etat major, tel qu'il le faut pour organiser l'armée en bataille.

Il faut tout de suite former une commission, pour

publier des Réglements simples et courts. Sans changer les anciens, il faut en ôter tout ce qui ne peut pas servir en temps de guerre.

Outre l'armée regulière composée des anciens Régiments et autant de nouvelles Brigades (ce qui formera d'ici en six semaines 108 escadrons — 78 batalions et 24 batteries) il faut faire former huit corps de partisans par des officiers compétents — composés chacun de 600 à 800 chevaux — 200 à 300 chasseurs et 2 à 6 pièces de compagne. Ces corps francs devront être portés au plus tôt pour garder la frontière et réunir à eux tous les Lithuaniens et Volhyniens etc. etc. Puisqu'on a commis la faute de ne pas désarmer la division du Grand Duc, et qu'on n'est pas entré tout de suite dans les anciennes provinces pour en faire autant à l'armée de Lithuanie, il est trop tard pour le faire à présent. L'armée Rosen et Pahlen étant presque rassemblée il faudrait combattre dans la saison rigoureuse et notre petite armée se fondrait par les marches. Mais il faut tout préparer pour passer le Bug et le Niemen sur la glace encore, aussitôt que les grands froids cesseront à peu près vers le 1 Février. Le soleil est déjâ plus élevé à cette époque. L'armée russe guettera aussi sûrement ce moment. Si elle ne passe pas, et continue à rassembler les colonnes sur le Niemen et le Bug, il faudra les premiers jours des février lancer nos 8 corps francs entre leurs colonnes à l'aventure, opérer des soulèvements en Volhynie et en Lithuanie et désorganiser les derrières de l'armée russe.

Dans ce cas notre armée marcherait en une seule colonne sur Brześć, elle tâcherait de s'emparer des magasins de Brześć et se placerait entre Brześć et les marais de Prypeć, pour couper la communication entre Łuck et Słonim, protéger nos corps francs, et tomber sur l'armée russe au moment où elle voudrait se réunir. Si l'armée russe passe la frontière sans attendre le 1 Février, elle le fera du point le plus rapproché de Varsovie; elle marchera par Stanisławów et gagnera la chaussée pour assurer sa

communication avec son magasin de Brześć. Lorsqu'on est fort, on marche droit au bût par le plus court chemin et Diebitsch marchera droit sur Varsovie pour passer la Vistule après une bataille, encore sur la glace. Tel sera son plan. Il faudra alors, au moment où il passera la frontière, lancer nos huit corps francs de l'autre côté du Niemen et du Bug, ce qui obligera Diebitsch de s'affaiblir en détachant quelques troupes de sa armée. Avec notre armée il faudrait se placer obliquement à la chaussée, après avoir manouevré de face, fondre sur lui le long du Liwiec pour le rejeter sur Białystok. Nos corps francs entreront en Lithuanie et dans la Volhynie où notre cavalerie legère doit se doubler.

Jenerale!

Przynoszę Ci, co każdy Polak nieść czuje potrzebę swemu przełożonemu, uległość bez granic, ale ponieważ w przebiegu organizacyi widzę chwiejność, pozwól, że Ci przełożę myśli moje jako wyznanie wiary. Przyrzekam Ci jednak, Jenerale, jeżeli się z Twojemi nie zgadzają, w niczem nie uchybić uległości tak koniecznej w każdym podwładnym.

Wszelkie rokowanie z Cesarzem Rosyjskim jest niemożebne; niemożność ta leży w nim samym, w jego stanowisku. Może on tylko przyjąć całkowite poddanie się i przyrzec swą łaskawość. Rokowania mogą być przeto chyba uważane jako podstęp wojenny.

Organizacya winna postępować szybko i rozpocząć ją trzeba od usunięcia wszystkich zbyt wiekowych oficerów wyższych armii. Mogliby oni tylko działać bez energii. Następnie trzeba nakazać wszystkim dowódzcom pułków, aby się udali z kadrami wybranemi z swych pułków do miast prowincyonalnych. Każdy pułkownik uorganizuje tam nową brygadę, złożoną z swych kadr, z żołnierzy, którzy wrócili do służby i z rekrutów, używając do tego przybo-

rów nagromadzonych w magazynach. Dowództwa starych pułków winny być powierzone oficerom posiadającym zaufanie w swoich korpusach. Można użyć do tworzenia rezerw tych, których się będzie chciało usunąć.

Trzeba natychmiast utworzyć energiczne ministeryum wojny i umieścić je przy boku samego dyktatora, jakoteż zamianować szefa sztabu z sztabem głównym, jak tego potrzeba do zorganizowania armii na stopie wojennej.

Niezwłocznie wyznaczyć komisyę do ogłoszenia regulaminu prostego i krótkiego, nie zmieniając dawnych, lecz wyrzucając z nich wszystko, co jest niepotrzebnem w czasie wojny.

Prócz armii regularnej, złożonej z dawnych pułków i tyluż nowych brygad, co uczyni od dziś za sześć tygodni 108 szwadronów, 78 batalionów i 24 baterye, trzeba kazać sformować zdatnym do tego oficerom 8 oddziałów partyzanckich, z których każdy obejmować ma 600 do 800 koni, 200 do 300 strzelców pieszych i 2 do 6 dział. — Ochotnicze te korpusy winne być jak najspieszniej posunięte naprzód dla strzeżenia granicy i zebrania do siebie przybywających Litwinów, Wołyniaków itd. Ponieważ dopuszczono się błędu puszczenia z bronią dywizyi W. Księcia i nie wkroczono natychmiast w dawne prowincye, aby rozbroić armię litewską, zapóźno już czynić to teraz. Z powodu, że armie Rozena i Pahlena są już prawie zebrane, trzebaby walczyć, w ostrej porze roku mała nasza armia zmniejszyłaby się jeszcze w marszach. Lecz należy wszystko przygotować do przejścia Bugu i Niemna jeszcze po lodzie i jak tylko wielkie mrozy sfolgują, mniej więcej 1 lutego. W tej epoce słońce jest już wyżej, armia rosyjska czekać będzie również na tę chwilę. Jeżeli nie przejdzie i będzie dalej zbierać kolumny nad Niemnem i Bugiem, trzeba rzucić nasze 8 korpusów ochotniczych pomiędzy ich kolumnami, zrobić powstanie na Wołyniu i Litwie i wprawić w nieład tyły armii rosyjskiej. Wtedy maszerowałaby armia nasza jedną kolumną na Brześć i stanęłaby między

Brześciem i bagnami Prypeci, aby przeciąć komunikacyę między Łuckiem a Słonimem, wspierać nasze korpusy ochotnicze i wpaść na armię rosyjską w chwili, gdy będzie chciała się połączyć.

Jeżeli zaś armia rosyjska przejdzie granicę przed 1 lutego, uczyni to w punkcie najbliższym Warszawy. Maszerować będzie przez Stanisławów i wejdzie na szosę, aby sobie zapewnić komunikacyę z swoim magazynem w Brześciu. Będąc silnym, dąży się prosto do celu najkrótszą drogą, i Dybicz pójdzie prosto na Warszawę, aby po bitwie Wisłę jeszcze po lodzie przebyć. Taki pewno będzie plan jego. W takim razie trzeba nam w chwili, gdy przechodzić będzie granicę, rzucić nasze 8 korpusów ochotniczych na tamtą stronę Niemna i Bugu, aby go zmusić do oddzielenia kilku oddziałów i tym sposobem się osłabić. Z armią zaś główną trzeba stanąć ukośnie do gościńca, maszerować z frontu, potem wpaść na Dybicza wzdłuż Liwca i odeprzeć ku Białystokowi.

Tymczasem nasze korpusy partyzanckie, oswobodzone od nieprzyjaciela, będą mogły wkroczyć na Litwę i do prowincyi południowych, gdzie kawalerya nasza musi się w dwójnasób pomnożyć.

Rozmowy czasem brały taki obrót, że można było wnosić, że się przekona, że go wszyscy słuchać chcą i będą, jeśli armię do boju poprowadzi.

Jednego razu mi powiedział: Czekać będę wojsk tutaj; gdy przymaszerują pod Pragę, połowa będzie się musiała przeprawić przez Wisłę dla zdobycia Warszawy, będę więc z połową tylko miał do czynienia. Wyjedź z Kołaczkowskim, obejrzyjcie położenie; chcę mieć cztery, pięć lub sześć twierdz polowych (forts detachés) na pół wystrzału działowego od wałów miasta. Stać będę między wałem a temi twierdzami. Skoro się Rosyanie zmordują dobywaniem twierdz, wypadnę z całem wojskiem na jeden punkt.

Kiedy przychodził do niego jenerał Klicki, w którym jednym tylko ze wszystkich jenerałów miał zaufanie, siadywali czasem długo nad mapą, rozumowali nad możebnemi działaniami. Niekiedy jenerał Chłopicki przypuszczał możność działania zaczepnego i można było mieć coraz większą nadzieję, że i na ten krok się zdecyduje.

Jeszcze przed dyktaturą, zaraz w pierwszych dniach powstania rząd tymczasowy zamianował dwóch regimentarzy, Małachowskiego i Sołtyka, oddając każdemu po cztery województwa. Ci niezwłocznie tam do broni lud wezwali, nakazali rekruta, który zaraz na miejsca oznaczone przybywał. — W Krakowskiem formowano dwa regimenty jazdy i dwa piechoty; — w Sandomierskiem to samo; — w Kaliskiem nawet trzy mocne pułki jazdy, dwa piechoty; — na Mazowszu cztery jazdy, bo dwa Mazurów i te, które stanowiły 5-ty i 6-ty pułki ułanów, piechoty zaś trzy. W Lubelskiem pułkownik Jaraczewski zatrzymał za pozwoleniem rządu tymczasowego wszystkich znajdujących się w jego okolicy dawnych oficerów jazdy dymisyonowanych i uformował regiment, który mając wielu doświadczonych oficerów, oddał na wojnie tyle, a może i więcej usług, jak stare regularne pułki, — w Płockiem dwa regimenta jazdy, tyleż piechoty; — w Augustowskiem przybyło do Łomży w kilku dniach przeszło 2000 ludzi na dzielnych koniach. ale nikogo nie było do przyjmowania ich, nie wyznaczono ku temu oficerów; pułkownik Jankowski, który tam stał z swoimi strzelcami konnymi, przybył do Warszawy i ledwo od Chłopickiego otrzymał pozwolenie dania oficerów i podoficerów ze swego regimentu do uformowania z tych ludzi nowego, porządnego pułku. Jenerał Chłopicki długo się opierał i nie ustąpił, aż mu przedstawiono, że jeśli się nikt nie zajmie uporządkowaniem tych ochotników, łatwo między nimi może nastąpić nieład, bo oni do domów wracać nie myślą. Jankowski wystawił z nich pod dowództwem majora Kostki i swoich oficerów bardzo piękny regiment. Następnie uformowano z pozostałych

jeszcze drugi i bardzo liczny regiment; — nakoniec w Podlaskiem prócz Krakusów Kuszla, formowała się piechota i mnogie oddziały wolnych strzelców.

Zbierano także po województwach trzecie i czwarte bataliony do starych pułków piechoty, które miały tylko po dwa pod bronią.

Jenerał Dwernicki utworzył w krótkim czasie 18-cie szwadronów jazdy rezerwowej z ludzi dymisyonowanych, którzy powracali do służby. Koni dostarczyli im obywatele. Żandarmów ściągnięto z całego Królestwa i utworzono z nich dwa szwadrony samego starego żołnierza.

Przybywało tudzież z Poznańskiego i z Galicyi wielu i dawnych oficerów i żołnierzy i młodych ochotników.

Z Poznańczyków pozwolił nareszcie jenerał Chłopicki uformować dwa szwadrony, ale pod warunkiem, że nie będą się nazywały poznańskimi, ale że będą należały do 2-go pułku strzelców konnych, który stał pod ten czas w Warszawie. Przedstawiłem jenerałowi Chłopickiemu doświadczonego oficera na dowódzcę, a Kazimierz Skarzyński dał mu swoich oficerów z swego pułku do nauki mustry.

Przybyła oraz z kilku regimentów pruskich, stojących w Prusach Zachodnich i Wschodnich i w Śląsku, niejaka liczba żołnierzy i podoficerów Polaków z zapytaniem, czy do wojska tacy przyjmowani będą, oświadczając, że wielu, aby przejść do szeregów polskich, czeka tylko na ich powrót z odpowiedzią. Chłopicki ich zburczał i wracać czemprędzej kazał, tonem, któremu rzadko kto mógł się oprzeć.

Nawet z korpusu litewskiego i od huzarów rosyjskich kilkunastu oficerów przyjechało do Warszawy. Jednych i drugich jenerał Chłopicki chciał aresztować i odstawą im groził. Oni naprzód się pokryli, a później wstąpili do naszego wojska.

Z regimentów, które z W. Księciem Konstantym w Warszawie stały, około 1200 Litwinów i Małorosyan

żołnierzy i podoficerów, pochowało się w Warszawie. Tych jenerał Chłopicki kazał w dwóch kolumnach odprowadzić pod strażą za Bug, tłómacząc im, że muszą wracać do swoich pułków, bo wojny nie będzie, ale zgoda, a zatem później spotkałaby ich kara. O przyjęciu podanych przez siebie warunków, Chłopicki zawsze jeszcze marzył.

Każdy pułk w Kongresówce miał trzy mundury w zapasie. Do garnizonów można było z każdego pułku wysłać kadry dostateczne do uformowania brygady. Każdy pułk mógł mieć porówno starych oficerów i podoficerów. W dwóch miesiącach, któreśmy mieli przed sobą, byłaby stanęła armia, licząca więcej jak sto tysięcy. Kilku kupców warszawskich ofiarowało dostawić Chłopickiemu 40.000 karabinów z Galicyi, bo przed dwoma laty rząd austryacki, zmieniwszy broń piechoty, starą rozsprzedał, a ta była w ręku żydów. W arsenale warszawskim było 30.000 karabinów, które lud rozebrał w dzień powstania, ale na wezwanie potem oddał. Prochu, jak wiadomo, znajdował się wielki zapas w Modlinie, łatwo też go robić, mieliśmy do tego zdatnych bardzo oficerów w artyleryi. Dział ulano później kilkadziesiąt, a można było rychlej i więcej.

Chłopicki zawsze o układach niepodobnych myślał; aż tu powraca z Petersburga Jezierski, który był z księciem Lubeckim wysłany. Przywiózł długi memoryał i list do Chłopickiego. Memoryał był bardzo obszerny. Na końcu dodano rozkaz, czyli wezwanie do wojska, aby całe pomaszerowało i stanęło pod Płockiem, skąd łatwo się dorozumieć, miano je posłać przeciw Francyi, jako przednią straż rosyjskiego, które przed powstaniem warszawskiem już się na to zbierało. Na boku tego memoryału, w którem także przebaczenie obiecanem było, dopisał Cesarz własną ręką po francusku: „Cesarzowi, który ma honor, można wierzyć“.

W liście do Chłopickiego, pisanym ręką Wołkońskiego za dyktowaniem Cesarza, tenże mu dziękował za porządek, który w jego (Cesarza) Królestwie Polskiem utrzymywał

i utrzymuje, dodając, iż się spodziewa, że tak go utrzyma do chwili, kiedy wojsko stanie pod Płockiem.

Nie wiadomo mi, czy sam z siebie, czy też za radą kilku ludzi, z którymi miał w Warszawie zażyłość, zdecydował się powtórnie zwołać sejm i dyktaturę złożył.

Do mnie tylko powiedział: „Nie poprowadzę ja mego narodu na rzeź. Inny odpowiedzialność dowództwa niech bierze na siebie“.

Sejm obrał księcia Michała Radziwiłła na wodza naczelnego, a rząd złożył z pięciu członków, prezesem tegoż księcia Adama Czartoryskiego mianując. W tych nominacyach trudno dojrzeć dążności Jakóbinizmu, o który znowu tak, jak przy rozbiorach kraju, zaczęto Polaków obwiniać.

Radziwiłł zaraz do boku swego powołał Prądzyńskiego i Chrzanowskiego, oficerów bardzo zdatnych, każdy w swoim rodzaju, ale trudno już było organizacyę jednostajną zaprowadzić pomiędzy nowemi formacyami. Czas także już był za krótki. Dochodziły wiadomości, że wojska do granic Królestwa się zbliżają. Jako też 1-go lutego granicę przekroczyły.

Wtedy dopiero urządzić wojsko do boju (former en bataille) przedsięwzięto. Dotychczas stały regimenta tak, jak po powstaniu były się do Warszawy zbliżyły. Dywizye i brygady nie były rozdane, bo z nowo formowanymi pułkami było ich trzy razy tyle, co za W. Księcia.

Po odebraniu wiadomości, że wojska rosyjskie weszły, oficer ze sztabu głównego przyszedł do mnie o 1-ej w nocy, obudził mnie i do księcia Radziwiłła powołał. Zastałem u księcia jenerałów Skrzyneckiego, Szembeka, Bontemps, pułkownika Karola Turmę i innych. Skoro wszedłem do pokoju, jenerał Skrzynecki posuwając się kilka kroków ku mnie, rzekł: „Daliśmy ci brygadę złożoną z 4-go regimentu ułanów, w którym jest najwięcej twoich Napoleończyków z gwardyi i 1-szy pułk Krakusów krakowskich, boś pół Krakowiaka i musisz mieć między nimi wielu

znajomych. Dowiesz się w kwatermistrzowstwie, gdzie te regimenty obecnie się znajdują. Ale wprzód usiądź, masz tu kontrolę Poznańczyków, znasz ich wszystkich, znasz i wszystkich naszych jenerałów, ci nie mają jeszcze wszystkich adjutantów, wybieraj więc z Poznańczyków tych, których do tej służby zdatnych będziesz sądził".

Zająłem się zaraz tem rozporządzeniem i popisałem nazwiska tych, których usposobienia wydawały mi się do tej służby najstosowniejsze, i tak żeby charaktery tych przyszłych adjutantów zgadzały się, o ile można, z usposobieniami jenerałów, do których byli przeznaczeni.

Wychodząc z głównej kwatery, wstąpiłem do jenerała Chłopickiego, ażeby się z nim pożegnać. Powiedziałem mu, że wyjeżdżam do przedniej straży, do Siedlec. „Bywajże zdrów (rzekł mi), mnie tu na bruku lud ukamienuje, ale darmo, sumienie mi nie pozwala prowadzić moich na rzeź".

Takie było jego przekonanie i to jest dowodem jego nieugiętego a prawego charakteru, wiedział, że wszyscy są na niego oburzeni, wystawiał sobie śmierć okropną, bo z rąk rodaków, a jednak jedynie tylko swego sumienia słuchał.

Powróciwszy do kwatery, ubrałem się w mundur,[1]) który miałem przygotowany, wsiadłem na konia i z dwoma adjutantami stanąłem nazajutrz w Siedlcach, gdzie stała dywizya ułanów pod dowództwem jen. Suchorzewskiego, mego dawnego i dobrego przyjaciela. Objąłem dowództwo nad 4-tym pułkiem ułanów. Wszyscy wyżsi oficerowie, jak mi powiedział jen. Skrzynecki, byli moi znajomi z gwardyi. Filiborn i Zajączkowski dowodzili dywizyami. Dowódzcy szwadronów, wszyscy z dawnej napoleońskiej gwardyi, ró-

[1]) Jenerał Chłopicki nie pozwolił do tego czasu wziąć munduru, jako pruskiemu poddanemu, co i opinię źle uprzedzało i było powodem, że wielu młodszych oficerów wyprzedziło go w awansie. *(Przyp. Wyd.).*

wnie jak kilku jeszcze oficerów i wachmistrzów, przyjęli mnie z radością. Podpułkownik Trzebuchowski dowodził regimentem. Dawny to mój znajomy z Hiszpanii, z 7-go pułku ułanów w służbie francuskiej. A tak, jak to mówią, byłem w domu.

Do pułku Krakusów, który, jak mi w kwatermistrzowstwie powiedziano, był jeszcze w marszu, a w tym dniu koło Kozienic się znajdował, wysłałem oficera, aby go do Siedlec najbliższą drogą sprowadził. Tenże oficer powrócił do mnie drugiego dnia, bo przy regimencie napotkał był jen. Dwernickiego, który mi kazał powiedzieć, że zaszła zmiana po moim wyjeździe z Warszawy z przyczyny, iż doszedł raport do głównej kwatery o zbliżeniu się jen. Geismara z dywizyą jazdy od Włodawy na Łuków, zaczem kazano jen. Dwernickiemu przywitać go z tem, co na drodze napotka, musi więc na teraz wziąć z sobą ów regiment Krakusów. Dwernicki, jak wiadomo, w istocie przywitał wtedy Geismara, bo go pobił na głowę pod Stoczkiem, a Krakusy zabrały mu dział jedenaście.

Natomiast oddano mi do brygady pułk Krakusów lubelskich. Dowodził nim pułkownik Jaraczewski, także mój dawny znajomy z gwardyi i miał samych dawnych oficerów, lub takich, którzy lat kilka pod W. Księciem służyli. Pomiędzy nimi znajdował się oficer, który był dopiero co od huzarów rosyjskich do nas przeszedł. Tak dobrze znał służbę i tak był walecznym, że wkrótce mu Jaraczewski szwadron powierzył.

O ile pułk lubelski był dobry i służbę cicho a porządnie spełniał, o tyle pułk sandomirskich Krakusów, który także do mej brygady przyłączono, trudnym był do uporządkowania. Miał on bardzo piękny lud i lepsze konie, jak lubelski, ale dowodził nim oficer, który lubo służył dawniej, cokolwiek już był zapomniał służby, a przytem wzrok miał tak krótki, że nosił okulary z zielonemi szkłami. Nie było tam ani jednego oficera z dawnej służby, tylko sami panicze, na dzielnych koniach, pięknie ubrani — nie

ich wina, że służby nie znali. Napisałem zaraz do Warszawy, żeby mi przysłano oficera znajomego z dawnego 7-go regimentu, którego w Hiszpanii nazywali koledzy człowiekiem z żelaza (hombre de ferro).

Skoro mi jen. Suchorzewski oddał ten pułk pod komendę, pojechałem go obejrzeć. Stał w lasku, konie do drzew powiązane mając. Rzekłem pułkownikowi, aby kazał na koń zatrąbić. Nie miał trębaczy. Mój więc z 4-go pułku, na ordonansie przy mnie będący, zatrąbił. Pułkownik im powiedział, co to znaczy, poczęli się więc powolnie na koń zwoływać, ale minęło dobre pół godziny, zanim konie okiełznali i przed laskiem linią stanęli. Przejechałem wolno przed frontem, było ich 912 koni, wszystko śliczny lud, doskonałe konie, kulbaki i wszystkie rzemienie dobre, wszyscy uzbrojeni w pałasze, pistolety i lance. Kazałem otworzyć szeregi naprzód, domyślając się, że drugi trudnoby się cofnął. Drugi szereg wstrzymać koni nie mógł, przejechałem więc z tyłu za linią.

Przybył jenerał Tomicki, który dowodził dywizyą. Kazał mi, żeby pułk defilował przed nim. Libiszewski zakomenderował dobrze, ale zaraz się pomieszali, jeden oficer zakomenderował w prawo, drugi w lewo, oficerowie a nawet i żołnierze zaczęli rozmawiać, radzić się wzajemnie, jak się obrócić. Prosiłem jen. Tomickiego o kwadrans czasu. Kazałem zatrąbić apel na oficerów, nie rozumieli, adjutant mój przejechał przed frontem i zawołał ich przedemnie. Gdy wszyscy stanęli, rzekłem: „Koledzy, skoro ja zakomenderuję: *Baczność!* nikt już z was słowa nie wymówi, a gdy powrócicie przed wasze plutony, każdy z was powie żołnierzom, aby żaden z nich gęby nie otworzył. Potem zakomenderuję *Plutony w prawo — Marsz — Na prost.* Wtedy pierwszy pluton nie zajdzie, ale na komendę *Marsz* ruszy naprzód. Każdy dowódzca plutonu zakomenderuje dopiero: *W lewo zachodź* na miejscu, na którem mój adjutant postawi podoficera, potem *Na prost* i drugi raz to samo. — A teraz na miejsca galopem“. — Zakomenderowałem, de-

Biblioteka Wojsk. Akad.

filowali cicho, jak stary regiment. Rzecz jednak oczywista, że przed każdym ruchem potrzebowaliby podobnego nauczania. Komenderowałem podług komendy za Księstwa Warszawskiego przyjętej, bo pułkownik Libiszewski powiedział mi, że takiej używał. Zamiast *plutony w prawo*, komenderowano *lewe ramię naprzód*, co na jedno wypada. Pułkownik Lewiński i Karol Turno ułożyli już byli dla pułków nowo formujących się krótki regulamin, według regulaminu przyjętego dawniej, ale jeszcze nie był doszedł Libiszewskiego. Zboczyłem nieco od regulaminu, nie każąc dowódzcom plutonów po odłamaniu powtarzać mojej komendy, — raz ażeby ich tem bardziej przekonać o dobrym skutku, gdy się daje najmniej komend, — powtóre dlatego, że się obawiałem pobałamucenia, wszyscy bowiem oficerowie byli nowi w służbie, ale dowiedli dobrej chęci, bo skoro zrozumieli, to doskonale wykonali.

Położyłem ten ustęp o tym pułku, ponieważ mam przekonanie, że gdyby miał był dowódzcę Regulskiego, o którego prosiłem, lub innego doświadczonego a niezużytego oficera, sześciu dobrych oficerów za dowódzców szwadronowych i tyluż w każdym szwadronie wachmistrzów, byłby się stał w kilka tygodni doskonałym pułkiem.

Ale w stanie, w jakim był, zaraz pierwszej nocy pourywały się konie od sznurów, biegały pomiędzy ułańskiemi, co nam wszystkim przeszkadzało w spoczynku. Zniósłszy się z jenerałem Tomickim, odesłałem ten pułk do Warszawy, raportując o jego stanie.

I w 4-tym regimencie ułanów musiałem zrobić pomiędzy oficerami małą reformę. Zauważywszy, że przy rozdziale furażu i żywności żaden oficer przytomnym nie bywał, ale tylko wachmistrze, zapowiedziałem, że żądam, aby przy każdej dystrybucyi był zawsze oficer na służbie szwadronowej. Pułkownik i starzy oficerowie z radością ten rozkaz usłyszeli, bo się im przypomniała dawna służba.

Trzynastego lutego odebrał jenerał Suchorzewski od jenerała Żymirskiego, który stał w Opolu z dywizyą pie-

choty i artyleryi, rozkaz cofania się do Opola, z pozostawieniem mnie w tylnej straży, aż do nocy, po której nadejściu miałem się także cofać. Dodano mi batalion piechoty lekkiej pod dowództwem majora Boguckiego i pół bateryi konnej Naremskiego. O północy stanąłem przed Opolem, skąd jenerał Żymirski już się był cofnął, a mnie rozkaz zostawił stać tam dzień cały i znowu nocą się cofać do Kałuszyna. Nie rozumiałem, dlaczego zawsze nocą rejterować mieliśmy, kiedy nigdzie, prócz kilkunastu z daleka kozaków, nieprzyjaciela nie było widać. Nocne marsze podwójnie ludzi i konie męczą. Nie podobało się to osobliwie młodym oficerom. Gdym usłyszał skargi, powiedziałem im, iż do tego jest najważniejsza przyczyna — rozkaz.

O 2-giej po północy stanęliśmy pod Kałuszynem nad laskiem. Śnieg dość grubo leżał i rąbiąc gałęzie przyciśnięte śniegiem ułani bardzo klęli, ale nareszcie ognie się tlić zaczęły, tak, że około rana gotować zaczęto.

Znów nocą cofaliśmy się do Mińska. Tam nad ranem pierwsze kule działowe nas przywitały, ale z bardzo daleka i tylko przez odskok aż do obozu dokuliwały się. Perspektywą zrekognoskowałem dywizyę lekkiej jazdy, trudno było rozróżnić, czy huzary, czy strzelcy konne, bo wszyscy byli w płaszczach. Jeden pułk był rozwinięty, sześć szwadronów, za tym trzy zdawały mi się stać w kolumnie. Baterye ustawione na przedzie dawały wciąż ognia, ale tylko część jedna kul dotaczała się przed nas. Ani jednego żołnierza, ani konia nam nie zraniono.

Znów oficer przywiózł mi rozkaz cofać się do Dębego wielkiego. Zaraz za Mińskiem przymaszerował do nas z boku pułk kaliski pod dowództwem pułkownika Szczanieckiego, który mię spostrzegłszy, przybył do mnie i zapytał, jaki mu daję rozkaz. Cofaj się (rzekłem) w kolumnie, w jakiej stoisz, obok nas, a gdy staniesz przede wsią, przejdź ją plutonami kłusem przed nami. Rosyanie, którzy spostrzegli, że się cofamy, posunęli się śpieszniej, baterye się przybliżyły i nie wiem, dlaczego dały pierwszeństwo Ka-

liszanom, bo nad ich głowami najwięcej kul przewarczało, ale wcale się nie zmieszali, tylko wolnym krokiem i porządnie maszerowali, a Szczanieckiego muzyka ta rozweselała.

Po kilka razy odbierałem w tym dniu przez oficerów rozkazy unikać bójki i cofać się, ażeby ludzi próżno nie tracić. Cofałem się, ale wolno, w nadziei, że Rosyanie przypuszczą atak, a w takim razie, rzecz oczywista, nie myślałem się dać wyprzedzić, ale uderzyć z blizka 4-tym ułanów, którego byłem najpewniejszy.

Gdym dochodził do Dębego, przyjechał do mnie jenerał Tomasz Łubieński, który jednym korpusem jazdy, to jest dwoma dywizyami dowodził. Te dotąd były w tyle, a ponieważ od Siedlec nocą zawsze maszerowałem i konie dość pomęczone miałem, rozkazał mi pójść do obozu pod Pragę i stanąć pomiędzy kolumną żelazną a Smulewczyzną, później jednak koło Wawru zatrzymał jeden dywizyon na tylnej straży, który dopiero w nocy do mnie do obozu pod Pragę przymaszerował, a Fileborn, który tym dywizyonem dowodził, raportował mi, że 18-stu ludzi stracił w szarży, zrobionej z konieczności, dla wyratowania 4-go pułku strzelców konnych, który nieroztropnie z daleka w galop poprowadzonym został. Opowiadał mi przytem, jak młody Józef Mycielski, adjutant jenerała Łubieńskiego, bardzo odważnie przy nim szarżował i lancą pod oko lekką otrzymał ranę.

Pod Pragą stała obozem niemal cała jazda. Na mojem prawem stał drugi pułk strzelców konnych i przy nim Poznańczycy, na lewem stał pułk kaliski, tak zwany obywatelski pod dowództwem Dłuskiego, dawnego dobrego oficera, — dalej ku Smulewczyźnie cały korpus jazdy pod jen. Umińskim. Mogło być całej jazdy blizko 15.000, oprócz około 3.000 z jen. Dwernickim i brygady Jankowskiego, który stał pod Białołęką z jen. Krukowieckim.

Wesoło nam było w obozie w tak licznej kompanii. Przyjeżdżali też do nas oficerowie od sztabu. Książę Ra-

dziwił stał bowiem na Pradze, ale niebawem odebrawszy dowództwo, miał zapewne tyle do roboty, że się nam w obozie wcale nie pokazał.

Wtedy to dopiero dowiedziałem się od oficerów sztabowych, że już było kilka potyczek, mianowicie pod Stanisławowem i potem pod Okuniewem. Rosyanie główną armią przeszli Bug pod Nurem. Na Liw pomaszerował jeden korpus Rozena, drugi korpus (Pahlena) drogą żwirową na Siedlec. Były zatem te korpusy odległe od siebie naprzód o 6 mil, później zapewne o 4. Powinno było być dokładnie wiadomem w głównej kwaterze naszej, którędy i ile gdzie maszerują. Zamiast więc dzielić się, jak Diebitsch, należało tylko brygadą jazdy maskować się na jednej drodze, a na drugą wpaść całemi siłami. To się nazywa strategia, która się udaje, kiedy kto umie korzystać z błędu. Oprócz tych dwóch dróg, przeszedł był Geismar Bug pod Włodawą. Maszerując na Łuków, miał zakrywać lewe skrzydło rosyjskie, ale Stoczek połamał mu szyki. Jednak korpus Tiemana od Lublina, a Kreutza od Puław, przymusiły Dwernickiego do cofnięcia się za Wisłę, ale tam zaraz pod Nową Wsią pobił znów tych, co się za Wisłę przeprawili (Wisła bowiem trzymała), działa zabrał i za rzekę przepędził.

Prawe skrzydło miał Diebitsch zakryte grenadyerami pod Szachowskim, który kowieńską żwirową drogą aż pod Białołąkę się podsunął. Tam brygada Kazimierza Małachowskiego i druga Giełguda stawiły mu czoło. Dowodził jenerał Krukowiecki.

Rzecz oczywista, że Diebitsch zanadto się rozciągnął, i byłby drogo ten błąd przypłacił, gdyby Chłopicki był dowodził. Ale Chłopicki, który przyrzekł, że dowodzić nie chce, stał przy dywizyi Szembeka na szosie do Miłosny. Wezwano do niego wszystkich dowódzców dywizyi i brygad. Powiedział nam: Kiedy się mamy koniecznie bić, to będziemy w tem tu położeniu. Objechał z nami całą przestrzeń od Saskiej Kępy aż do Ząbków. Tutaj (mówił) ście-

śniona pozycya, mniej nas, ale nas nie oskrzydlą, — laski do bronienia łatwe przed nami, — tutaj niech się rzecz decyduje. Stanęła tedy dywizya Szembeka na prawem skrzydle od Saskiej Kępy. Środek zajmowała dywizya Żymirskiego. Lewe najważniejsze, jen. Skrzynecki. W rezerwie były grenadyery i cała jazda. Dział mieliśmy 96. Rosyanie przeczą, iżby tyle mieli tam sił, ile wówczas mówiono, dział mieli wprawdzie trzy razy tyle, jak my, ale jazdy mniej, lubo nasza działać nie mogła, bo oni zajmowali brzegi lasów.

Gdy grenadyery zostały odparte od Białołęki, Diebitsch chciał zapewne otworzyć z nimi komunikucyę i wysłał z prawego skrzydła swego nie wiadomo mi ile pułków ułanów. Ci obeszli nam lewe skrzydło i od Kawęczyna pokazali się w tyle za naszem lewem skrzydłem. Przyszedł więc rozkaz do regimentu jazdy kaliskiej, ażeby szła przeciw nim. Właśnie przyjechali byli do niej członkowie rządu, Kaliszanie Niemojewscy, Morawski, Biernacki i inni ich znajomi, przywieźli z sobą kosze wina z Warszawy, i rozumiejąc, iż tego dnia nic już nie będzie, było to bowiem z południa, ochoczo się zabawiali. Jeszcze pewnie wszystkiego nie wypróżnili, kiedy nadszedł ten rozkaz. Siedli żołnierze na koń i czoło kłusem mocnym ruszyło, a za tem ogon galopem. Podpułkownik Trzebuchowski, doświadczony oficer, widząc ten prędki ruch z kopyta, rzekł: Idą trochę za prędko naprzód, powrócą jeszcze prędzej. Leżałem przy ogniu z oficerami moimi. Znikli wnet Kaliszanie z ócz naszych, ale nie wyszła godzina, spostrzegliśmy opodal przed nami chmurę jeźdźców w nieładzie prosto ku nam cwałem umykających. Gdy się troszkę zbliżyli, poznaliśmy między nimi i Kozaków i ułanów rosyjskich. Kazałem na koń, Skarżyński to samo. Pewnie nas spostrzegli, bo powoli nasi Kaliszanie sami się nam zmęczeni, z końmi spienionymi przedstawili, ale nie wszyscy, którzy byli tak odważnie ruszyli naprzód. Nie ich to jednak wina, tylko dowódzcy, a i tego nie, bo panowie Kaliszanie przytomność mu ode-

brali. Nie zdarzyło mu się to nigdy, ale rządowym osobom nie śmiał odmówić. Nie wiadomo mi, ile ten regiment stracił w tej potrzebie, ale to pewna, że go w obozie już potem nie widziałem przez kilka miesięcy. Zresztą mało był na wojnie kawalerzysta, który czasem nie uciekał.

Nie dostali się jednak Rosyanie do swoich grenadyerów, bo ci po porażce pod Białołęką cofnęli się ku Radzyminowi.

W obozie był zawsze jeden pułk jazdy i brygadyer na służbie, który trzymał na całej linii placówki przed piechotą, oprócz olszynki, gdzie piechota stała na czatach.

24-go wypadła na mnie kolej z 4-tym pułkiem ułanów. Następowałem po pułkowniku Jagminie, który był na służbie. Więc ułani zluzowali tylko na całej linii posterunki strzelców konnych, na co jeden wystarczył szwadron. Z trzema stanąłem na samym środku pozycyi, gdzie obozowała dywizya Żymirskiego. Sam jenerał miał kwaterę w Grochowie. Ja przepędziłem noc na polu, mając i tak obowiązek całą noc objeżdżać wszystkie posterunki. Po tej nocy rozwidniał dzień pamiętny 25 lutego.

Skoro rozwidniało, 200 dział rozpoczęło ogień na nasze linie. Pościągałem, rzecz oczywista, posterunki przed piechotą stojące, bo już nie było dla nich tam roboty, ale z regimentem pozostałem w linii za dywizyą Żymirskiego. Kule działowe i nad nami przechodziły. Dziwnie, jak wysoko strzelali. Widziałem, jak rzadko kule trafiały piechotę, przedemną stojącą. Wydawało mi się, że więcej cierpieli grenadyerzy, którzy obok szosy stali w kolumnach w rezerwie.

Przysłał do mnie jenerał Łubieński swego adjutanta, Edwarda Fredro, ażebym mu doniósł, co nowego zaszło. Chcąc zaś o położeniu jenerałowi raportować, zsiadłem z konia i dobyłem perspektywę. Opartem ją na ramieniu Fredry, który zsiadłszy z konia, stanął przedemną. Kula uderzyła o kilka kroków przed nim, obsypała go śniegiem i ziemią, i nie tylko ponad nami, ale i ponad głowami ula-

nów przewarczała. Pierwsza to była kula, którą Fredro widział i słyszał. Musiałem więc perspektywę przez chwilę sam potrzymać, ale zaledwie wyszło kilka sekund, znów mi ramię z największą spokojnością podał. Dwóch jego braci służyło ze mną w gwardyi, trzeci robił kampanię przy Umińskim, wszyscy czterej bardzo odważni. Najstarszy był adjutantem wówczas w Petersburgu.

Po dwugodzinnej kanonadzie piechota rosyjska kolumnami na nasze stanowiska do ataku ruszyła i wszędzie jak wiadomo, odpartą została. Powtarzano atak po kilka razy i dopiero po południu przewyższającemi siłami udało im się opanować lasek olszowy, gdy dywizya Żymirskiego i Skrzyneckiego znaczną liczbę ludzi straciły. Jenerał Chłopicki, który z Żymirskim kilka ataków odparł, był już raz rannym, gdy prowadząc rezerwy, tak mocno ugodzony został w nogę, że spadł z konia i musiano go na Pragę odnieść. Jenerałowi Żymirskiemu kula urwała rękę, poczem wkrótce umarł. Jenerał Skrzynecki cofał się z lasku, a mocno ścigany przez chmarę flankierów, ujrzawszy moich ułanów o dwa tysiące kroków na prawo od siebie, żadnej zaś jazdy za sobą nie widząc, przysłał oficera z żądaniem, aby te ułany przyszły mu w pomoc. Oficer naturalnie udał się do mnie. Natychmiast ruszyłem, pułkownikowi Trzebuchowskiemu kazałem kłusem iść za mną, a sam galopem pospieszyłem do Skrzyneckiego po rozkaz. Po drodze, granat pękł pod koniem mego adjutanta, Stanisława Chłapowskiego, przewrócił mu konia i jego samego rzucił o kilka kroków. Chłapowski zdrowo się podniósł i po innego konia pobiegł. Jenerał Skrzynecki, poznając mnie z daleka, ruszył naprzeciw mnie i zapytał, ile mam szwadronów? Dwa tylko, odrzekłem, (dwa drugie musiałem zostawić, bo były w asekuracyi bateryi pozycyjnej za szosą, przy piechocie Szembeka). Mnie (rzekł) sześć szwadronów potrzeba, ale co masz, to tem odpędź tę chmarę tyralierów za mną, ażebym bataliony mógł sformować. Mnie się zdawało, że rejterowały się w porządku, ale Skrzynecki chciał i miał racyę się za-

trzymać i front do nieprzyjaciela znów obrócić. Nadszedł też w kilka minut Trzebuchowski. Przez prawo do frontu szwadrony stanęły i poprowadziłem je na tyralierów rosyjskich, którzy, skoro chorągiewki nasze spostrzegli, jakby przepadli w lesie. Jednak z brzegu poza drzewami nas razili. Posunąłem się znów o 500 kroków przed Skrzyneckim, który tymczasem się sformował i front zrobił. Baterye, które stały na pozycyach na prawo i lewo lasku i strzelały dotychczas na naszą rejterującą się piechotę, teraz obróciły cały swój ogień na moje dwa szwadrony. Nie wyszło 10 minut, padł mi śmiertelnie w bok ranny pułkownik Trzebuchowski, kapitanowie Godurowski i Lewicki, kilku oficerów i jak później porachowano, przeszło 100 ułanów. Musiałem co chwila komenderować naprzód i posuwać się kilka kroków, ażeby się z koni zabitych wydobyć i ścisnąć szeregi. Spostrzegł to położenie moje Skrzynecki i przysłał adjutanta z rozkazem, ażebym się za piechotę rejterował. Prawie wszyscy ułani jeszcze zdrowi, zajęci byli odprowadzaniem rannych. Ledwie około 100 ludzi tylko zostało w szeregu. Kilka jeszcze minut zatrzymałem się przed laskiem, aby ułani mieli czas odprowadzić rannych ludzi i konie, bo i tych było rannych wiele w jednę nogę, a ułani niechętnie konia porzucają. Ziemia, na której stałem, była po większej części pokryta śniegiem, ale ponieważ to miejsce jest nizkie, były i lody, które jednak załamywały się pod końmi i zdradzały bagna i trzęsawiska. Stojąc tam jeszcze na dole, spostrzegłem, że kirasyery przechodzą przez mostek na rowie przecinającym dróżkę z Ząbków do Pragi. Ciągnęli oni ku nam, ale przechodząc rotami przez szczupły mostek, dali nam dosyć czasu do cofnięcia się za piechotę, co też uskutecznilišmy powoli. Zaraz wszystkich rannych wyprawiłem z ludźmi potrzebnymi do niesienia ich, lub przynajmniej do podpierania, tak, że mi tylko dwa plutony pozostały, z którymi powracałem wolno na moje stanowisko przy szosie. Pospieszyłem tedy do Filiborna, do drugich moich szwadronów, dla do-

wiedzenia się, czy tam co nowego nie zaszło. Pomówiłem z nim chwilę, widząc kolumny jazdy nieprzyjacielskiej postępujące i wyprzedzające swą piechotę, chciałem powrócić do szwadronów, które tyle dopiero co ucierpiały, a dla których nieszczęścia się obawiałem. Nie dojechawszy jeszcze do szosy, usłyszałem wrzawę za sobą. Ułani 2-go pułku pomieszani z kirysyerami rosyjskimi, wpadli za mną na szosę. Chcąc tę jazdę przepuścić, wstrzymałem konia, lecz porwał się za nią, zerwał łańcuszek u munsztuka, uniósł mnie między kirysyerów tak, że z nimi się do kolumny żelaznej dostałem i z pomiędzy nich się wydobyłem, kiedy ułani dwóch drugich szwadronów 2-go naszego pułku pod Mycielskim na nich wpadli i zabierali ich do niewoli.

Filiborn rejterował z dywizyą Szembeka z pozostającymi tam dwoma szwadronami 4-go pułku.

Pułk ten kirysyerów, nazwany księcia Alberta, z zielonymi kołnierzami, miał sześć szwadronów. Pułkownik jego chciał pewnie otoczyć czworobok, który uformował Skrzynecki z 8-go pułku piechoty na swojem prawem skrzydle. Z trzech bowiem stron, z każdej po dwa szwadrony, zajechały i tak z trzech stron szarżę przypuściły. Gdy więc ze wszystkich stron zostały odparte, szwadrony te, które były zaszły z tyłu, drapały ku Pradze, te zaś, co z boku, uciekały ku szosie, dokądżeśmy maszerowali, to jest wszystkie prawo w tył zrobiły. Ci tylko, co szarżowali od lasku, zwrócili na pozycyę rosyjską i musieli tam nieporządku narobić, bo widać było masy kawaleryi, która jednak się nie wysunęła.

Przeleciały te kirysyery przez naszą bateryę, która już się szosą cofała. Wprawiły także w nieporządek jakiś nowy batalion piechoty. Ale że nikogo oni ani razu nie cięli, mogę zaręczyć, bo i pomiędzy nimi jechałem, nawet nas wyminęli, a na tak wysokich siedzieli koniach, że zdawało mi się, iż który z przelatujących obok mnie, butem mnie w głowę potrąci.

Naszą stronę obwiniono, że kawalerya cała została

nieczynną pod Pragą i że nie usłuchała rozkazów jej danych. Nie wiem, czy odebrała jaki rozkaz, ale tego pewien jestem, że cała kawalerya niby nie była dokazała, bo naprzód stan ziemi, śnieg, lody, błoto, bardzo niekorzystne przedstawiały pole, a powtóre, daleko jeszcze ważniejsza przeszkoda dla jazdy znajdowała się w tem, że gdyby piechota rosyjska przymuszoną została się cofać, to zaraz za sobą miała las, gdzie i najwięcej kawaleryi niby jej zrobić nie zdołało. Tam, tylko piechota piechotą mogła być zwyciężoną.

Po południu obie dywizye grenadyerskie Szachowskiego, obszedłszy wkoło, pomaszerowały na prawe skrzydło rosyjskie. Krukowiecki ani poszedł trop w trop za niemi, ani, co mu jeszcze łatwiejszem było, nie przybył po odejściu grenadyerów z Białołęki wzmocnić nasze skrzydło lewe. Tym sposobem było piechoty rosyjskiej 60.000 na nasze 20.000, bośmy z południa bez Krukowieckiego więcej pewno nie mieli. Dział także było już wiele zdemontowanych, Rosyanie zaś, skoro które z ich 200 na linii było zdemontowane, zastępowali je z 100 innych, które stały w rezerwie, dla których już na ich pozycyi miejsca nie było, co sprawdzało słowa Chłopickiego, że w ściśniętej pozycyi mniejszą liczbą przeciw daleko większym siłom bić się będziem mogli.

Po szarży kirysyerów nastąpiła przerwa. Nasza piechota rejterowała się już spokojnie za dawne okopy pragskie. Może w godzinę potem, gdy już ściemniać się poczynało, wysunęły się trzy kolumny jazdy rosyjskiej, w środku głęboka kolumna kirysyerów, na ich prawem takaż ułanów, a na lewem przy szosie huzarów, które się posuwały za naszą cofającą się piechotą.

Cała nasza jazda stała jeszcze w tem samem miejscu, które zajmowała podczas całej bitwy. Rozumiałem, że jej dadzą rozkaz pomknięcia naprzód, ale zamiast tego wysunęła się przed naszą jazdę baterya rakietników, która na kolumny rosyjskie puszczać race zaczęła i zdaje się, że

się pomiędzy niemi musiał zrobić nieporządek, gdyż słychać było wielką wrzawę, wiele komend i krzyków, poczem znikli. Tu była stosowna chwila puścić za nimi kilka tysięcy naszej jazdy, pole było po temu, dzieliło nas od pozycyi pierwotnej naszej kilka tysięcy kroków, — tam ich pognawszy, bylibyśmy ich wpędzili na błota pod borem i olszynką. Rozkazu jednak takiego nikt nie dał. Jedyna to pewnie w dziejach wojennych bitwa, w której nikt z jednej strony nie dowodził. Pocóż jednak, mając za cel wzięcie Warszawy, rozdzielać się było Rosyanom od Puław do Białołęki? Dlaczego nie maszerować jedną najlepszą drogą? Dlaczego nazajutrz po bitwie grochowskiej nie przejść przez Wisłę? z Saskiej Kępy na Szulec, gdzie jeszcze lody trzymały?

Nie opisałem tu wcale wszystkich szczegółów bitwy pod Grochowem, bo tych opisów już dosyć. Opowiedziałem tylko to, na co sam patrzałem. Z relacyi, które znam przekonałem się, ile musi być pomyłek w opisach kreślonych przez historyków, nienaocznych świadków.

Około 5-tej godziny już cicho wszędzie było, już nigdzie nieprzyjaciela nie ujrzałeś. Piechota nasza stała cała za starymi okopami Pragi, prócz jednej brygady z dywizyi Szembeka, która przez Saską Kępę przeszła z działami na Szulec, a zatem i Diebitsch mógłby był tam Wisłę przejść, ale zapewne z swoją piechotą porachować się nie był w stanie.

Przy pruskim komisarzu panu Kanitz był major Seydlitz, ten potem powiadał, że w armii rosyjskiej kilka dni strawiono na porządkowaniu się, potem lody puściły i cofano się w błocie, do armat musiano woły zaprzęgać. Kanitz, jak zobaczył był polskie bataliony pod Białołęką idące do ataku, odezwał się do Osten-Sackena, że nie łatwo im pójdzie przeciw takiemu wojsku.

Staliśmy kilka godzin jeszcze przed Pragą. Około 9-tej przybył do mnie jen. Rutie z rozkazem przejścia Wisły po moście, ale że odjechał, nie powiedziawszy, gdzie po

przejściu miałem stanąć, wysłałem adjutanta mego Potworowskiego do jenerała Klickiego, który miał komendę na lewym brzegu Wisły, po rozkaz w tym względzie. Potworowski powrócił do mnie, gdy już stałem w mieście i przyniósł rozkaz, że mam się udać do Łazienek. Pomaszerowaliśmy tam, ale że wszystkie stajnie były zajęte nowo formującymi się pułkami jazdy, stanęliśmy pod drzewami.

Gdy się moje regimenta roztasowały i po furaż do magazynu wykomenderowano ludzi, pojechałem o 1-szej w nocy z ordonansem do Chłopickiego na Krakowskie Przedmieście. Zastałem go w łóżku bardzo cierpiącego na rany, które w obie otrzymał nogi, na których już starych było dosyć. Jeszcze trwał w wyobrażeniu o wielkich siłach rosyjskich i miał przekonanie, że nazajutrz przejdą Wisłę na Szulec i wezmą Warszawę. A powtarzał mi kilka razy: Nie miałem dość zaufania do wojska naszego — tak szło na bagnety, że można było wszystko pobić, gdyby był Krukowiecki przybył z starym moim Małachowskim. Nie miałem wyobrażenia, że żołnierze, którzy jeszcze na wojnie nie byli, tak pójdą. — Tu się podniósł trochę, na łóżku, ale zaraz opadł. — Darmo (mówił dalej) trzeba mi umykać. — Czy masz pieniądze? — Mogę mieć, jenerale, ale jenerał poszlij którego oficera z asygnacyą, ile chcesz, pewnie będziesz mógł podpisać, a jeżeli rano tych pieniędzy mieć nie będziesz, to przyszlij do mnie do Łazienek, gdzie 4-ty ułanów stoi. — Zaraz mu przysłano 10 razy tyle, ile chciał, bo tysiąc dukatów i wyjechał drugiego dnia do Krakowa.

Powróciwszy do Łazienek nad ranem około 5-tej, przespałem kilka godzin pod drzewem, lecz równo z dniem obudzono mnie, bo przybył oficer od Klickiego, żebym pomaszerował nad Wisłę za miasto, rozstawił posterunki nad rzeką od Czerniakowa do Obór, sam stanął w Wilanowie i stamtąd raportował jak najczęściej. Dodano mi regiment Mazurów, pułkownika przy nim nie było, dowodził pod-

pułkownik Biesiekierski, z którym bardzo przyjemnie mi było się spotkać, bo znaliśmy się w różnych okolicznościach.

Cztery dni stałem w Wilanowie, jeżdżąc nad Wisłę, aż za Obóry. Wisła puszczała i już o przejściu Rosyan myśleć nie było można. Odebrałem rozkaz oddania brygady jenerałowi Rutie i udania się do korpusu jenerała Umińskiego. Wziąłem tam dowództwo innej brygady, złożonej z 3-go strzelców konnych i pułku augustowskiego.

Trzeci pułk strzelców konnych zostawił był wilią na rekonensansie za Pragą swego pułkownika Błędowskiego, któremu kula nogę urwała, na pobojowisku, nie będąc wcale ściganym przez nieprzyjaciela. Była to wina podpułkownika, który w tej chwili, gdy pułkownik spadł z konia, zakomenderował prawo w tył, a major kłusem, tak że opuścili Błędowskiego, rozumiejąc, że zabity. Kazano mi wyciągnąć śledztwo i sądzić cały pułk za to. Pokazało się, jak opowiedziałem wyżej. Podpułkownika, majora i oficera plutonu, przed którym spadł Błędowski aresztowano i do Kielc odesłano.

Prosiłem o pułkownika Russiana na dowódzcę a majora Regulskiego na podpułkownika. Skoro tylko ci wzięli pułk pod komendę, duch w nim zaraz się naprawił.

Wkrótce też wymaszerowaliśmy z jenerałem Umińskim nocą przez Warszawę i przez most. Całą noc trwała ulewa. Rosyanie więc pewno się naszego ruchu nie spodziewali. Przeszliśmy szczęśliwie nad ranem do Modlina, stamtąd do Nasielska. Miał bowiem Umiński rozkaz wypędzenia jenerała Sacken, który się rozłożył z dywizyą za Nasielskiem. Dowiedziawszy się zapewne o naszym marszu, cofnął się Sacken za Nerew do Ostrołęki. Był jednak silniejszy od nas, bo miał trzy pułki grenadyerskie, trzy kozackie, jeden ułański i dwie baterye, my zaś cztery regimenta jazdy, jeden piechoty i jedną bateryę konną.

Z Nasielska pomaszerowaliśmy na Gumbinie do Pułtuska, a stamtąd do Siełkowa. Tu przyaresztowano dozorcę drogowego, który służył był podemną w gwardyi Napo-

leona. Był to człowiek 60-letni z bieluteńkimi włosami. Oddany został przez jen. Umińskiego pod sąd wojenny, bo dwóch świadków zeznało, że był w Ostrołęce i doniósł jen. Sacken, ile nas szosą pod Siełkowem, przemaszerowało. Przyznał się, że za to dostał 30 dukatów. Skoro mu wyrok śmierci przeczytano, prosił, żeby się mógł z żoną i dwojgiem dzieci pożegnać. Wyrok wykonano.

Z Siełkowa poszliśmy do Rożan, skąd mnie jenerał Umiński, dawszy mi 1-szy pułk ułanów, Krakusów podlaskich, pod dowództwem Kuszla z Żelechowa, batalion strzelców pieszych i bateryę konną, wysłał na rekonesans aż do Ostrołęki, polecając mi, abym dotarł aż do mostu i przekonał się o stanie mostów na Omulewie, a osobliwie na Narwi pod Miastem.

Wysłałem Krakusów naprzód. Gdyśmy dwie mile uszli i zbliżyli się do miejsca, gdzie się las zaczyna, wysłałem za pierwszym szwadronem Krakusów kompanię strzelców pieszych. Wkrótce Krakusy napotkały kozaków w lesie. Skoro strzelcy ukazali się po bokach, zaraz kozacy znikli. Przyszliśmy nad Omulew. Most stał cały. Nad Omulewem rozstawiłem batalion i bateryę. Pierwszemu pułkowi ułanów kazałem się zatrzymać w tyle, również trzem szwadronom Krakusów, a z jednym przemaszerowałem Omulew. Kozacy wystrzelili do nas kilkanaście razy z poza domków nad szosą i zemknęli do Ostrołęki. Pospieszyłem ze szwadronem kłusem za nimi, ale spostrzegłszy, że nad rzeką z tamtej strony stoi mnóstwo piechoty, zatrzymałem szwadron a z plutonem puściłem się w prawo, ażeby most zobaczyć. Konie w tłustej ziemi pogrzęzły. Nie można było dalej postąpić. Pluton więc odesłałem na szosę, sam zsiadłem z konia i pieszo poszedłem ze sto kroków, skąd się przekonałem, że słupy mostowe obwinięto w słomę maczaną w smole, a zatem do spalenia przygotowania zrobione. Rzecz dziwna, że żaden strzał karabinowy nie padł, a byłem nie dalej jak o 30 kroków od rzeki, za którą stała linia piechoty. Dopiero gdym wracał

do konia mego i plutonu na szosie, dano ognia do tego plutonu i do szwadronu, który stał także na szosie o 200 kroków z tyłu. Kilkanaście razy działa wystrzeliły, ale kule wszystkie za wysoko poszły, nikogo nie trafiono. Mając piechotę nad rzeczką, byliśmy spokojni, więc jazda pasła konie. Nad wieczorem przybył oficer od Umińskiego z rozkazem, abym się cofnął na pół drogi od Rożan. Przymaszerowaliśmy tam już w nocy i stanęliśmy obozem pod wsią, ale nie od strony rzeki, nad rzeką rozłożyła się piechota, gdzie stał już drugi i trzeci batalion.

Około 12-tej w nocy Rosyanie przyprowadziwszy działa zapewne z Ostrołęki, zaczęli z drugiej strony Narwi w obóz piechoty strzelać. Ognie się jeszcze paliły, więc dobrze widzieć mogli, w co celować. Wyszedłem z domku, w którym spoczywałem, ale przekonawszy się po blasku dział, że z drugiej strony rzeki strzelają, wróciłem i zasnąłem. Nazajutrz dowiedziałem się, że ani jednego żołnierza nie zabito, ani raniono. Cały jednak regiment wyniósł się z obozu nad rzekę na drugą stronę wioski, gdzie jazda stała.

Ogień w nocy bardzo jest niepewny, Rosyanie dziwnie wysoko strzelali, kule leżały niezmiernie daleko za wsią. Mogli byli kartaczami strzelać, bo Narew w tem miejscu nie ma stu sążni, ale kiedy już chcieli kulami, to należało tylko pół ładunków używać.

Główna kwatera korpusu już tu stała. Brygada moja rozłożyła się opodal od rzeki, więc spać mi było wolno. Byłem też poprzedniej nocy na rekonesansie z Sewerynem Ostrowskim, adjutantem Umińskiego, w Glinkach, o milę od Ostrołęki w lewo. Jenerał Umiński chciał się tam dowiedzieć o siłach Sackena. X. Woroniecki, właściciel Glinek, dał mi szczegółowe informacye, ponieważ tego samego dnia był w Ostrołęce, dokąd go pod eskortą Kozacy zaprosili i dopiero wieczorem powrócił. Nad ranem właśnie byłem z tym rekonesansem wrócił, kiedym otrzymał rozkaz maszerowania pod Ostrołękę.

Nazajutrz po tej nocnej kanonadzie rosyjskiej, główna kwatera Umińskiego stanęła znowu w Siełkowie. I ja tam przybyłem z brygadą, do której dodano mi Krakusów podlaskich, z którymi już byłem robił rekonesans na Ostrołękę. Dowodził tym pułkiem Kuszel, który służył był dawniej w regimencie huzarów Umińskiego i żył z nim w przyjaźni. Był to oficer doświadczony, bardzo surowy dla swych podwładnych. Stał teraz na forpocztach. Objeżdżając te w nocy, zdziwiłem się, widząc, że cały pułk siedział na koniach. Wracam po dwóch godzinach i znów widzę, że stoją. Zajechałem do pułkownika, który poblizki zajmował domek. Nie spał i widać było, że wcale się nie kładł. Rzekł mi, iż mocno cierpi na dawne rany. Na zapytanie, dlaczego regiment ciągle na koniach, odpowiedział mi, że każdą noc tak go trzyma, inaczej nie utrzymałby tych młodych żołnierzy. Skarżył się także na oficerów. Mówił, iż teraz, a właśnie dniało, każe konie chędożyć i poić. Dał mi doskonałe śniadanie i gdy dzień się zrobił, spostrzegłem za domem karetę i brykę. Powiedziałem mu zaraz, że jeżeli będę miał zaszczyt posiadać go w brygadzie, proszę go, aby się pozbył tych ekwipaży, lub odesłał je do parku Tłómaczył się cierpieniem, mówił, że bić się umie i ręczy, że ilekroć będzie miał przednią straż, nikt nas nie najdzie, ale dodawał, że kucharza i dobrze jeść potrzebuje. I ja zawsze mam co jeść, odrzekłem, a żadnej bryczki. Kucharz powinien mieć wszystko na koniach, skąd i ta korzyść, że zawsze wszystko jest na zawołanie, a powozy spóźnić się mogą. W odpowiedzi prosił mię raz na zawsze na dobrą kuchnię, a ja mu na to: Ja cię proszę raz na zawsze do siebie i będziesz miał zdrowe jedzenie, choć nie wykwintne, jak twoje, ale żądam, abyś ekwipaże odesłał. Gdy zastawiał się pozwoleniem Umińskiego, powiedziałem mu, że musi mi wyraźny na to rozkaz od niego okazać. Nie śmiał jednak Umiński takiego wydać. Rozkazem dziennym tylko dowódzcom brygad jeden powóz był dozwolonym. Trzeba oddać sprawiedliwość Umińskiemu,

że porządku w swoim korpusie surowo przestrzegał. Na drugi dzień przybył do mnie Kuszel na śniadanie, ale mu się niezawodnie tak jak u siebie nie podobało i nic nie wskórawszy u Umińskiego, postarał się przez swoich zapewne przyjaciół w głównej kwaterze o rozkaz do jenerała Umińskiego, aby odesłał Krakusów podlaskich do głównej kwatery.

Wyszło jednak 4 czy 5 dni, zanim ten rozkaz przybył, a tymczasem jeszcze jedną małą wyprawę zrobiłem z tymi Krakusami.

Jednego dnia nad wieczorem przyjechał do mego obozu jenerał Umiński i powiedział mi: Mam przez moich szpiegów doniesienie, iż w prawo Rożan przeprawiają się Rosyanie przez Narew, weź więc tyle, ile sądzisz potrzebnem, i pomaszeruj dla rekognoskowania, ile ich przeszło, bo że przeszli, to niema wątpliwości.

Wziąłem dwa szwadrony Krakusów i dwa z 3-go strzelców konnych, przytem 60 strzelców pieszych. Wysyłałem był co wieczór jeden pluton z oficerem na patrol, a drugi po północy aż pod Rożany. Pierwszy powracał przed północą, a drugi nad ranem. Więc gdym się teraz w pochód ruszył, pierwszy jeszcze nie był powrócił, ale po godzinnym marszu spotkałem go i jego oficer potwierdził mi wiadomość daną przez Umińskiego, że rosyjska piechota przeprawia się niedaleko miasta. Pluton odesłałem do obozu, ja zaś dalej pomaszerowałem. Było półtorej mili do Rożan. Wychodząc z lasu, postawiłem na brzegu strzelców pieszych, dalej o tysiąc kroków trzy szwadrony, a z jednym 3-go regimentu posunąłem się jeszcze o pięćset kroków. Tu zostawiłem trzy plutony i na prawo i na lewo kilka czat rozstawić kazałem, a jednemu plutonowi wjechać do miasta. Za tym ruszyłem sam z adjutantem. Na ulicy wszystko cicho było, chociaż już dnieć cokolwiek poczynało. Na rynku znajdowało się kilku ludzi. Do tych się zbliżyłem i dowiedziałem się, że ze cmentarza nad rzeką widać, jak rosyjska piechota przeprawia się na łód-

kach. Prawdę mówiąc, widać było bagnety, ale rzeka w tem miejscu taki zakręt tworzyła, że nie można było dostrzedz brzegu z tej strony, tylko wiele żołnierzy w lasku po drugiej stronie pokazywało się.

Wyjechałem z miasta plutonem i do szwadronu zbliżałem się, gdy na prawo od Rożan kilka strzałów padło, na które moje czaty odstrzeliły. Spostrzegłem kilkunastu huzarów czerwonych ku nam się posuwających, a że mieli białe konie, więc ich dobrze widać było, bo też już dzień coraz się rozjaśniał. Strzelali oni z karabinków. Wtem jeden z moich strzelców konnych na flankierach przylatuje z jednym huzarem obok siebie i powiada, że to Polak i sam do nas przeszedł. Skądżeś rodem? Z Kijowa. Ilu was na tej stronie? 80 huzarów gwardyi i 80 dragonów, którzy zostawili konie na tamtym brzegu. Zagadka bagnetów była więc wytłómaczoną.

Posłałem po drugi szwadron, a tym jednym, com miał z sobą, na huzarów ruszyłem formując go w front. Gdym się zbliżał kłusem, pokazali mi się pomiędzy wiatrakami dragoni w jednej linii pieszo z bagnetami, a na ich prawem huzary na koniach. O sto kroków dali do nas ognia i zaraz nad rzekę uciekli i dragoni i huzary, ci zsiedli z koni i popuszczali je. Brzegi bowiem tam bardzo spadziste, nie tylko zjechać, ale nawet sprowadzić koni po nich nie można szybko. Nadchodził drugi szwadron. Kazałem połowie ludzi zsiąść z koni i spuścić się nad rzekę. Zabrali tam prawie wszystkich. Oficerowie na łódce umykali na drugą stronę, ale nasi strzelcy dając za nimi ognia, kilku jeszcze powalili. Przyprowadzono mi 70 dragonów i 74 huzarów. Wszystkie 80 koni nasi pochwytali. Trębacz i jeden huzar chcieli konno uciec tą stroną rzeki, ale Stanisław Chłapowski natarł na nich i do poddania się przymusił.

Gdy z drugiej strony stojące pomiędzy drzewami dwa pułki gwardyjskie obaczyły, żeśmy ich towarzyszów zabrali i odprowadzili, poczęli dragoni z karabinków przez

rzekę do nas strzelać. Jeden z nich zaczął nad brzegiem chustką białą wywijać na znak, że chce z nami mówić. Wiatr był od nas, więc dobrze nie mogłem słyszeć, co krzyczy. Przybliżyłem się na pół spadzistości, żeby się zasłonić od wiatru, ale że jeszcze strzelali, wołałem, że jeźli czego chcą odemnie, to niech zakażą strzelania, bo nie myślę tu stać długo. Oficer ten mówił po polsku, ale źle. Krzyknięto, żeby zaprzestać ognia, lecz jeszcze kilka razy w czasie rozmowy naszej strzelano. Pyta on mi się tedy: ileśmy wzięli oficerów? Żadnego, odpowiedziałem, tylko junkra Brevern. Każ jenerał, rzecze, poszukać nad brzegiem, musi tam być inny, albo ranny albo zabity. Jeżeli nie będziecie strzelali, znijdę aż na dół i szukać każę. Jakoż kilku żołnierzy znalazło już nieżywego kapitana od dragonów, którego zapewne ich własna ugodziła kula, bo nasi wcale nie strzelali, gdy się spuszczali i brali do niewoli, wyjąwszy tylko do łódki, a tem mniej szarżując poprzednio. Skoro im krzyknąłem, że zdaje się, iż znaleziono kapitana, o którym mówią, zeszło się nad brzeg wielu oficerów i już po francusku prosiło mię, żebym im oddał ciało kapitana. Chętnie, odpowiedziałem, ale przyślijcie łódkę. Wyprawili na łódce Kozaka. Ten wiosłem robiąc, dosyć blizko przypłynął, ale o 20 kroków od nas przestał robić wiosłem i patrzał się z nieufnością na mnie i na Potworowskiego, który obok mnie stał. Kilka razy mu powtarzałem: *paidy siuda*, lecz on się nie przybliżał. Krzyknąłem wreszcie po francusku do oficerów, aby mu kazali po swemu przybić do brzegu, bo inaczej ciała nie włożą. Wrzasnął jakiś starszy na Kozaka, przybił do brzegu, nasi żołnierze położyli w łódkę ciało, jeden z nich poczęstował Kozaka tabaką, poczem poszliśmy na górę pod wiatrak.

Junker Brevern opowiedział mi wtedy, że oni byli wysłani na tę stronę, ażeby się zasadzić i złapać patrol Krakusów, który, jak się dowiedzieli, chodził co wieczór do Rożan i że W. Książę Michał przyjechał z Łomży do ich dywizyi lekkiej jazdy i objawił życzenie, że byłby bar-

dzo rad widzieć Krakusów. Wiedziałem, że jen. Nostitz dowodził tą dywizyą, więc się pytałem o niego, bom go dobrze znał z pruskiej służby, był on w regimencie ciężkiej jazdy w Berlinie, kiedy ja u dragonów. I Brevern mi powiedział, że jen. Nostitz pięć minut przed mojem wpadnięciem na nich pod tymi wiatrakami przeprawił się tą samą łódką z tej na tamtą stronę. Więc pytałem się o niego oficera po drugiej stronie, ale już jenerał był odjechał do Gaworowa, do swojej kwatery. Pożegnałem oficerów na tamtym brzegu stojących. Dziękowali mi bardzo. Jeden z nich krzyknął: Do zobaczenia w Warszawie!

Krakusom oddałem huzarów i dragonów do odprowadzenia. Kuszel czerwone mundury huzarów kazał im zmienić na krakuskie, a w husarskie nowe, ponsowe, ubrał swoich trębaczy i tak nazajutrz pomaszerował ku Warszawie.

Mieszczanie z Rożan nanieśli nam żywności i furażu. Najadłszy się sami i popasłszy konie, ruszyliśmy napowrót.

Rząd płacił żołnierzom za konia zdobytego po sto złotych. Z tych kilkudziesięciu zabranych siwych huzarskich kazałem żołnierzom przejeżdżać prawie wszystkie, bom chciał dobrać jednego dla mego adjutanta Potworowskiego. Były one tłuste, okazałe, ale ani wyciągniętego kłusa, ani cwałem chodzić nie chciały. Wyuczone były do krótkiego galopu, którym zwykle na paradach defilowali, ażeby bowiem w galopie równanie utrzymać, trzeba, aby galop był bardzo skróconym. Ładnie to się wydaje na paradzie, ale szkodliwe na wojnie, bo w szarży z blizka, a zatem krótkiej, konie powinny, dochodząc, być rozpuszczone, ażeby mocno uderzyć. Kupił więc Potworowski od Wincentego Kalksteina konia za 100 dukatów, zamiast białego za 100 złotych.

Gdyśmy powrócili pod Skiełkowo, jen. Umiński odebrał na wieczór bilecik od jen. Skrzyneckiego, który, jak wiadomo, otrzymał był po bitwie grochowskiej naczelne dowództwo. Bilet był następującej osnowy: Dziś w nocy

przechodzę most. Jeżeli Bóg pobłogosławi naszej broni, następstwa będą ważne. Korpus jenerała ma być w pogotowiu, by mógł puścić się w marsz w chwili, gdy jenerał na to rozkaz odbierzesz.

Po tem krótkiem uwiadomieniu czekaliśmy z natężeniem wiadomości dalszych. Nazajutrz przyszła wiadomość z głównej kwatery pod Dębem, że pod Wawrem całą brygadę rosyjską, a tegoż samego dnia pod Dębem 6.000 wzięto do niewoli, że ze świtem postąpi jen. Skrzynecki szosą na Siedlce, a zarazem przysłano nam rozkaz maszerowania przez Modlin dlatego, że w Żegrzu most zniesiony, potem na Jabłonnę, Okuniew, Stanisławów, pod Liw, gdzie mieliśmy tworzyć lewe skrzydło armii.

Natychmiast ruszyliśmy i trzeciego dnia stanęliśmy pod Liwem, gdzieśmy zastali jen. Andrychowicza, który tam z 20 pułkiem piechoty, uzbrojony tylko w pierwszym szeregu karabinami, a w drugich dwóch jeszcze kosami, oddziałem jazdy płockiej i czterema działkami czterofuntowemi natarł był w wigilię na brygadę piechoty pod jen. Pinabel i przymusił do cofnięcia się za rzeczkę.

Skoro z drugiej strony zobaczył Pinabel czoło kolumny naszej, znikł z swym oddziałem. Józef Breza, podpułkownik kwatermistrzowstwa, postawił most bardzo szybko. Moja brygada, prowadząc konie, przeszła po nim nad wieczorem. Stanęliśmy obozem o ćwierć milki. Rozstawiłem placówki ku Sokołowu i Mokobudom, a po północy wysłałem małe patrole na wywiady ku obu tym miasteczkom.

Jenerał Umiński, jak wiadomo, miał zawsze wielu szpiegów na swoje rozkazy, bo zapewne dobrze im płacił. Ci zwykle szli z jego karteczką przez mój obóz lub konno się przeprawiali. Kazał on mi te karteczki odbierać. Zatrzymywali tylko znaczki, które oficer starszy na służbie, rewidujący w nocy placówki, musiał znać, ażeby tych ludzi z placówki zaraz do jenerała ekspedyować.

Otóż zaledwie minęło z pół godziny, jak jeden z tych szpiegów, najczęściej jaki chłop lub mieszczanin z okolicy,

powrócił był od Sokołowa, aliści Umiński przybył do mnie. Było to po południu, kazał kiełznać konie całej brygadzie, a mnie dał następujący rozkaz: Pomaszerujesz do Sokołowa, tam postawiwszy wokoło czaty, każesz popaść konie, po północy ruszysz do Rogowa o półtorej mili dalej. Mam pewną wiadomość, że W. Książę Michał przeprawił się przez Bug pod Nurem z brygadą jazdy gwardyi i że ma się zjechać z marszałkiem Diebitschem niedaleko Siedlec, zapewne w Mordach. Staraj się więc napaść tę brygadę. Ruszyłem natychmiast.

Było zapewne w tej wiadomości coś wzbudzającego wiarę. Naturalną rzeczą wydawało się, że W. Książę będzie chciał iść z gwardyą w pomoc Diebitschowi, który wtenczas był w krytycznem położeniu i dobywał się z błota na Łuków do Siedlec.

Przymaszerowawszy pod Sokołów, kazałem popaść konie, a przez ten czas dowiedziałem się, że kupiec jeden w mieście powrócił tego dnia z ponad Bugu. Ten mię zapewnił, że żadne wojsko przez Bug nie przechodziło. O północy wziąwszy dwóch przewodników na koniach, wymaszerowałem ku Rogowu. Tam się z pewnością dowiedziałem zaraz w pierwszej wsi od obywatela, że w Rogowie niema ani jednego Rosyanina. Zostawiwszy więc w tej wsi brygadę, z jednym tylko szwadronem puściłem się do Rogowa. W Rogowie zebrałem niewątpliwe wiadomości, że nie tylko żaden Rosyanin pod Nurem nie przechodził, ale że nawet Kozacy gwardyi, z tamtej strony Bugu stojący, nikogo z tej tu strony nie przepuszczają i że jeżdżą oficerowie z kilkunastu żołnierzami od Mordów aż do Bugu, naprzeciw Nuru, ale zostają na tej stronie i łódką tylko jeden się puszcza i spotkawszy na połowie rzeki łódkę, która z Nuru na połowę rzeki przypływa, oddaje i odbiera listy, które zaraz na łódce przekadzają, ażeby zaraza cholery, panującej w wojsku Diebitscha, nie dostała się do gwardyi. Wypełniłem tedy rozkaz dotarłszy do Rogowa i powziąwszy tam pewną wiadomość, że W. Książę ani

myśli się tamtędy przebierać do Diebitscha, powróciłem do brygady a nad ranem do Sokołowa, gdzie zastałem już jen. Umińskiego.

Powróciliśmy pod Liw. Stanąłem znów w tym samym obozie. Po północy wysyłałem zawsze dwa patrole, każdy po trzech ludzi, jeden ku Sokołowu, drugi ku Mokobudom.

Od patrolu wysłanego ku Sokołowu raz przybył raniuteńko żołnierz z 3-go strzelców konnych i zameldował mi od podoficera, że im się w lesie poddało 80 saperów z jednym oficerem i że oni idą i już są niedaleko obozu. Wstałem od ognia i poszedłem naprzeciwko tych gości. Wkrótce zaświeciły bagnety. Na czele szedł młody oficer, za nim sapery z bronią. Gdy się ku mnie zbliżyli, oficer zaprezentował mi szpadę z pochwą, oddając mi ją tak, jak według przepisu czyni oficer, kiedy idzie do aresztu. Pytam go o nazwisko. Hahn — odpowiada. To pan Kurlandczyk? — mówię do niego po niemiecku. Tak jest — odrzekł i zdawał się kontent, że usłyszał swój język. Jakżeż pan z tylu ludźmi mogłeś się poddać trzem jeźdzcom? Ja kazałem saperom do nich strzelać, a oni mówili, że to nasi, kilku wyszło z lasku na drogę, wołało ich, żeby się zbliżyli i potem przymusili mnie iść z nimi aż tutaj.

Idąc obok oficera przed nimi do obozu, dowiedziałem się od niego, że poprzedniego wieczora był wysłany z Siedlec do lasu dla robienia faszyn i że dziś chciał robotę rozpocząć.

Wmaszerowali do obozu. Kazałem im w kozły postawić broń, którą później oddałem 20-mu regimentowi. Strzelcy konne potraktowały ich, z czego byli bardzo kontenci. Mieli z sobą różne narzędzia, jako to: piły, topory etc. Odesłałem ich z temi narzędziami po dwóch godzinach spoczynku na drugą stronę do jen. Umińskiego, który ich memu adjutantowi Potworowskiemu do głównej kwatery odprowadzić kazał.

Było to kilka dni po rozprawie pod Iganiami, która sprawiedliwie tyle zaszczytu zrobiła Prądzyńskiemu i My-

cielskiemu Michałowi, który pod Domanicami jednym regimentem 2-gim ułanów rozpędził kilka pułków ułanów jazdy, i ósmemu regimentowi naszej piechoty, który bagnetem bez wystrzału wszedł do wsi Iganie, bronionej przez brygadę jegrów. Nie opisuję tej rozprawy szczegółowo, bo znana z raportów, skąd i ja też tylko wiem o niej.

Jenerał Umiński znów przez szpiegów swoich dowiedział się tym razem zgodnie z rzeczywistością, że pod Sokołów przymaszerowało od Siedlec 300 koni i stanęło przy mieście obozem. Rozkazał mi wysłać dwa szwadrony strzelców konnych. Przewodnik na koniu, którego mi dał chłop z okolicy, przeprowadził nas tak krótką a małą dróżyną przez bór, że zaraz po północy napadliśmy obóz rosyjski tak nagle, że jeden tylko padł strzał pistoletowy i to z budy, w której oficerowie przy latarni w karty grali. Nie mieli czasu wsiąść na koń, wszyscy trzystu zabrani, jedenastu oficerów z majorem, znów Kurlandczykiem. Dopiero po wzięciu do niewoli kiełznać konie musieli i pomiędzy naszymi strzelcami maszerować do obozu. Byli oni z terespolskiego pułku, ubrani zupełnie, jak nasi, tylko mieli bure rajtuzy a nasi szaraczkowe, jedyna różnica, bo kołnierze żółte i konie jak u naszych kasztanowate. Wyszło z obozu dwa szwadrony a powróciło cztery.

Następnej nocy znów jen. Umiński wysłał przez bród pod Wyszkowem dwa szwadrony Krakusów lubelskich, które zabrały cały szwadron ułanów z pułku nazwanego tatarskim, który stał na posterunku przed Mokobudami. Mikołaj Kamiński, odpowiadając Kozakowi na czacie, dojechał do niego, ściągnął z konia i tym sposobem uprzedził zaalarmowanie szwadronu, który jednak bardzo czujnie stał w linii na koniach. Cały został wziętym. Byli to sami Ukraińcy z białemi czapkami i kołnierzami jak nasz 2-gi regiment ułanów. Zaraz też wszyscy do ostatniego wstąpili i jak później się dowiedziałem, bardzo dobrze się bili.

Podczas tej wycieczki stałem w obozie pod Liwem.

Nazajutrz raniuteńko oficer na placówce przysyła mi podoficera meldować, że chmara Kozaków pokazuje się od Mokobud i że mu się wydaje, iż za nimi maszeruje kolumna jazdy. Rozkazawszy kiełznać konie, ruszyłem do placówki na pagórek, na którym stała nasza czata. Prawie też całkiem się rozwidniło i przekonałem się, że nie tylko jazda w kolumnach po obu stronach drogi, ale że i drogą maszeruje artylerya i piechota. Wysłałem tedy uwiadomić Umińskiego o tem. Szybko powrócił mój oficer od niego z rozkazem przejścia z brygadą przez most napowrót. Gdym wrócił do obozu, już jeden mój regiment, któremu Umiński dał rozkaz wprost, kończył przechodzić most, a 3-ci strzelców zaczynał. Skoro i ten przeszedł, zostawiłem za sobą pluton, ażeby dobrze zrekognoskować, ile Rosyan na nas idzie. Myślę, żem się nie mylił, gdym osądził, że było ich około 2000 jazdy w dwóch kolumnach, ze 6 do 7 tysięcy piechoty i dział ze 20. Pospieszyłem z tą wiadomością do jenerała na drugą stronę. Stał on już na koniu na pagórku wprost mostu. Tam powiedziałem mu, że zdaje mi się, że 10 tysięcy idzie. Nie zupełnie zdawał się temu wierzyć i zostawił z tamtej strony mostu w małym okopie, który był kazał jako przedmoście wysypać, 600 ludzi z 20-go piechoty.

Wnet potem ujrzeliśmy, jak pagórki z drugiej strony okrywały się najprzód Kozakami, za nimi jazda formowała się regularnie do frontu, za nią nadjeżdżały działa. Stawają naprzeciwko nam trzy baterye, które zaraz odprzodkowały i grać zaczęły na nas, ale żeśmy trochę opodal rzeczki stali, obróciły cały prawie ogień na 1-szy regiment strzelców pieszych, który stał nad samym brzegiem. Wkrótce pokazała się i piechota, trzy czoła kolumn, jedna przeszła przed środkową bateryą i spuszczała się wprost ku mostowi, druga pomaszerowała dalej ku Węgrowu na naszem lewem, a trzecia się spuszczała ku laskowi na naszem prawem. Za bateryami stanęła w linii znów piechota, a po jej skrzydłach jazda.

Piękny bardzo widok nam się przedstawiał. Pomiędzy nami wiła się błotnista rzeczka w dolinie, z obu stron wznosiły się pagórki; na tamtej stronie jak mówiłem, trzy kolumny po dwa, jak się zdawało bataliony posuwały się wolno ku rzeczce, za nimi na wzgórku i ponad ich głowami do nas strzelające widać było trzy baterye, pozycyjne, jako się pokazało po kulach, za temi linia piechoty, na jej skrzydłach po jednej brygadzie jazdy, a chmara Kozaków uwijających się wszędzie pomiędzy niemi.

Z naszej zaś strony było naprzód w małym przedmoście 600 piechoty, która bardzo skupiona, wiele cierpiała i bez potrzeby tam zostawioną była. Nad samą rzeką z tej strony stał 2-gi batalion 20-go regimentu i 1-szy strzelców pieszych, zaś obok nich cztery działa płockie. Zaraz za niemi już na wzgórku ciągnęła się moja brygada, oba regimenta w jednej linii, a w drugiej o 500 kroków 1-szy pułk ułanów i 1-szy augustowski. Konna baterya Jaszewskiego stała na prawem skrzydle tej brygady.

Baterye rosyjskie strzelały naprzód kulami do nas, ale niezadługo potem zaczęły strzelać kartaczami do piechoty w przedmoście. Ta wiele ludzi straciła, zanim jeszcze kolumna rosyjska do niej doszła. Wszyscy ci 600 ludzi mieli już karabiny, ale zanadto byli na kupie i nie wszyscy odstrzeliwać mogli na kolumnę postępującą na okop. Kolumna ta przecież bardzo wolno postępowała i kilka razy się zatrzymała. Widzieliśmy sztabs-oficera na białym koniu krzyczącego na żołnierzy. Mały walik przedmostowy świeżo wyrzucony, już był pokryty kulami i granatami i prawie rozsypany, gdy kolumna się zbliżała. Wnet więc dostała się w środek. Z 600 naszych ludzi, ledwie kilkudziesiąt zdążyło przez most uciec do nas. Ale i Rosyanie w przedmościu utrzymać się długo nie mogli, bo rażeni ogniem piechoty naszej i czterech dział płockich, wkrótce, odprowadziwszy z 400 niewolnika, cofnęli się w lasek, gdzie stała druga ich kolumna. Nie śmieli się

przez most do nas puścić, choć kilka tylko dylów nasi cofając się zrzucili. Może też było ich zamiarem tylko nam przejście popsuć, gdyż musieli być zniecierpliwieni naszemi wyprawami na ich posterunki w Sokołowie i Mokobudach. Jenerał Umiński błąd popełnił, zostawiając 600 ludzi z drugiej strony, nie wprowadzając do boju bateryi Jaszewskiego. Gdyby ją był nad rzekę, tam, skąd strzelały małe działa płockie, posunął, byłby może jej ogień kartaczowy wstrzymał kolumnę, która na przedmoście maszerowała.

Jak tylko się Rosyanie z przedmościa cofnęli, Umiński, rozgniewany, że stracił 500 ludzi, dojechał nad rzekę do 1-go pułku strzelców pieszych i zawołał na ochotników, żeby szli na most położyć znów dyle zrzucone, gdyż chciał przejść i na drugiej stronie atakować. Wyszło ochotników więcej, jak było potrzeba, ale nieprzyjaciel skierował wszystkie strzały artyleryi i piechoty na ludzi kładących dyle na most tak, że się wielu z nich w rzekę przewróciło, a reszta, wyjąwszy dwóch, zrejterowała. Ci dwaj, mimo rzęsistego ognia piechoty i gradu kul działowych, wciąż dyle kładli, aż jen. Umiński, sam widząc niepodobieństwo wykonania swego zamiaru, zawołał na nich, żeby się cofnęli. Byli to Breański i Alojzy Radoński, naówczas podoficerowie tego pułku. Cudem wyszli nietknięci. Zaraz na oficerów awansowani zostali.

Żeby był Umiński z początku dobrze osądził, że Rosyanie tylko nam przejścia rzeki chcą zabronić, mógł był cofnąć tych 600 ludzi, kazać zrzucić most i cały korpus o tysiąc kroków od rzeki ustawić. Rosyanie byliby tylko na nas patrzeli i ani jednego nie bylibyśmy stracili człowieka. Ale on był zniecierpliwiony, że się główna armia tak była w kilku bitwach odznaczyła, a nasz korpus jeszcze nic wielkiego nie zrobił. Chciał więc bić się koniecznie.

Dlatego też po wzięciu przez Rosyan przedmościa, gdy po małej przerwie ujrzał, że jazda ich z lewego skrzydła

maszeruje z lasku nad rzekę, wysłał brygadę (Miller) 1-szy ułanów i pułk augustowski pod dowództwem pułkownika Millera z rozkazem, aby przeszedł przez bród o pół mili ku Wyszkowu i atakował tę jazdę.

Miller przeszedł bród i zostawiwszy przy nim pułk augustowski na przypadek, gdyby od Mokobud nieprzyjaciel chciał mu tył zabrać, sam z 1-szym pułkiem ułanów tylko ruszył naprzeciw pięciu szwadronom, które nad rzeką ku niemu się zbliżały. Z tej strony rzeki mogliśmy widzieć każdego naszego i nieprzyjacielskiego żołnierza. Było ich trzy szwadrony strzelców konnych z niebieskimi wyłogami, a na skrzydłach pod jednym szwadronie ułanów białych. Skoro Miller tak się do nich zbliżył, że już kłusem w linii szli ku niemu, tak ostro na nich uderzył, że zaraz ich złamał, pomieszał się z nimi i w lasek aż za piechotę zapędził. Przed piechotą, rzecz oczywista, kazał zatrąbić na zebranie i rejteradę. Cofnął się, przeszedł bród i powrócił do nas, przywodząc ze 150 niewolników. W tej szarży odznaczył się Stanisław Błociszewski, który był adjutantem przy pułkowniku Bukowskim. Tylko dwóch ułanów było rannych od piechoty.

Nazajutrz po tej potyczce, skoro rozedniało, widać było na drugiej stronie rzeki tylko kilku kręcących się ułanów po pagórku. Kazałem pokłaść dyle na most i przeszedłem z jednym plutonem, aby zobaczyć, co się dzieje. Postawiłem czat kilka na tych samych pagórkach, na których poprzednio je stawiałem. Kilku ułanów rejterowało się przed moim plutonem ku Mokobudom, ale ich oficer zatrzymał się, chustką białą wywijać począł, posłałem więc do niego oficera mego plutonu z zapytaniem, czego chce? Odpowiedział mu, że jen. Ugriumów życzy sobie widzieć się z jen. Umińskim. Posłałem z tem podoficera do Umińskiego. W pół godziny wrócił z odpowiedzią, że jenerał Ugriumów może z interesem, jaki ma, przysłać do niego oficera, którego mnie polecał przeprowadzić z zawiązanemi oczami, lub też do niego napisać. We dwie godziny po-

tem, gdy już byłem napowrót przeszedł i stałem niedaleko mostu, przyprowadzono mi tegoż samego oficera. Ten zaraz podał mi przyniesiony z sobą worek, mówiąc, że w nim jest tysiąc dukatów złotem, które prosi, aby jen. Umiński użył na potrzeby rannych i chorych jeńców w Węgrowie. Zatrzymałem oficera a posłałem uwiadomić Umińskiego, o co rzecz idzie. W odpowiedzi jenerał dał mi rozkaz, aby przeprowadzono tego oficera do Węgrowa, żeby on sam mógł wręczyć te pieniądze lekarzom rosyjskim. Niepotrzebną była ta pomoc, gdyż jen. Umiński, ustanowiwszy komendantem placu w Węgrowie swego adjutanta, W. Kalksteina, nakazał mu, aby Rosyanom na niczem nie brakowało. Oficer przecież tam pojechał i lekarzom pieniądze oddał.

Gdym powracał do obozu i zbliżał się do mostu, usłyszałem niedaleko drogi jęk. Zwróciłem więc konia w stronę, z której mnie dochodził, ale dojechać nie mogłem, bo było trzęsawisko. Zsiadłszy z konia, doszedłem do miejsca i znalazłem grenadyera rosyjskiego. Leżał na wznak. Nie mogłem dojrzeć gdzie ranny. Coraz potem słabszym mówił głosem. Nadeszli ordonans i trębacz. Kazałem im go wziąć, ale skoro go z miejsca podnieśli, skonał.

Jen. Umiński, chcąc sobie wynagrodzić stratę pod Liwem, a zachęcony powodzeniem wypraw nocnych pod Sokołowem i Mokobudami, proponował mi następującą nową wycieczkę nocną. Dowiedział się przez swoich szpiegów, że pod Mordami, a milę od Siedlec, stoją trzy pułki kirysyerów, że tam w obozie mają zawsze rozkulbaczone konie i wcale się nie strzegą, stojąc prawie w tyle swojej armii. Proponował mi więc, abym wybrał z mojej brygady najmocniejsze konie, zostawił dla lekkości mantelzaki, ludzi i oficerów, którychbym przeznaczył na tę wyprawę, a wziął z sobą tylko owsa w torbach i ruszył przez bród pod Wyszkowem, maszerując na Suchożebry tak, żeby przededniem wpaść na obóz pod Mordami, zabrać co mo-

żna, poużynawszy od powrozów konie kirysyerskie, rozpędzić je i wracać inną zupełnie drogą, np. na Paprotnią, lub którędy najbezpieczniej osądzę. Od Mórd miałem ruszać kłusem. Za nami poleciałyby zapewne konie kirysyerskie, więc choćby nas gonili zaraz Rosyanie, to te konie stanowiłyby naszą ariergardę, a przynajmniej przeszkodę w borach. Gdyby zaś nikt nie gonił, miałem stanąć i popaść moje konie, bo uszłyby już ośm mil, i powrócić na Jarosławy do boru przed Węgrowem i do Liwia. Jenerał obiecywał, że wyśle z Liwia tą drogą aż do spotkania mnie, choćby aż do Paprotni, całą drugą brygadę pod dowództwem Millera, który, jak mu było wiadomem wzniecał we mnie zaufanie, ażeby mnie obronić, jeślibym był mocno ścigany.

Już się przygotowywałem do wymarszu, kiedy nad wieczorem przyszedł rozkaz od jen. Skrzyneckiego, ażebyśmy natychmiast się cofali na Stanisławów aż pod Okuniew. Oficer, który z tym rozkazem przybył, powiedział nam, że Diebitsch z całą armią zaszedł prawe skrzydło naszej głównej armii, ale że pod Kuflewem pułkownik Gawroński, który tam stał w przedniej straży w brygadzie Dembińskiego z 4-tym i 5-tym pułkiem ułanów, wstrzymywał dzielnie jego straż przednią i ruch ten dobrze osądziwszy, ostrzegł na czas Skrzyneckiego, który się zaraz cofnął, ażeby nie być oskrzydlonym i postanowił wziąć pozycyą pod Dębem Wielkiem i tam oczekiwać Diebitscha. Dodał, że armia we wstecznym marszu już była blizką Mińska.

Wymaszerowaliśmy zaraz i przed nocą jeszcze stanęli pod Stanisławowem, gdzieśmy popaśli konie. Jaraczewski miał tylną straż i był tak ścigany przez Kozaków, że dla zyskania odpoczynku kazał zostawić na drodze kilka wozów naładowanych beczkami wódki, ażeby je Kozacy zabrali i zabawili się piciem. Jak przewidywał, tak się stało. Jeszcze nie był dzień zupełny, a już stanęliśmy pod Okuniewem, gdzieśmy dobę całą się zatrzymali.

Nazajutrz, skoro świt, Kozacy zaczęli się uwijać i strzelać z jańczarek do czat naszych.

Około 8-mej z rana przybył oficer z Dębego z wiadomością, że Diebitsch nie szedł do Dębego, ale się cofnął. Oficer ten przywiózł nam rozkaz pochodu naprzód, ale nie do Liwia, tylko od Stanisławowa, bardziej w prawo na Pustelnik do Zimnejwody. Główną kwaterą stanął Skrzynecki w Jędrzejewie, zajął więc pozycyę bardziej skupioną.

Ruszyliśmy tedy naprzód, Krakusy lubelskie na czele, spędzili Kozaków i Kamiński, dowódzca 1-go szwadronu, szedł ostro za nimi. Droga tak była szeroka, że szwadron frontem postępował. Gdy uszedł z milę drogi borem od Okuniewa, Kozacy poczęli się zatrzymywać i gęściej strzelać z jańczarek. Trzeba było uderzyć na nich, ale jak tylko szwadron kłusem puścił się, znikli na prawo i lewo w lesie, a odkryli kolumnę jazdy regularnej, która zajmowała całą drogę. Nie można się było namyślać. Szarżuj! — daję rozkaz Kamińskiemu i mogłem to uczynić bezpiecznie, bo za jego szwadronem o 200 kroków maszerowała cała dywizya jazdy naszej. Krakusy wpadły na kolumnę, która ich, stojąc w miejscu, przyjęła, co jest wielkim błędem w jeździe. Pierwszy jej szwadron wystrzelił z karabinków do Krakusów. Nie zatrzymało to ich wcale. Wpadli i pomieszali się z Rosyanami, którzy zaraz pierzchnęli, ale już Krakusy byli pomiędzy nimi i gonili ich półtorej mili aż za Stanisławów. Wzięto do niewoli 85 huzarów (z pułku pawłogrodzkiego) a po tej półtoramilowej drodze leżało kilkunastu zabitych.

Wzięli także Krakusy jednego oficera z obciętem uchem, którego zaraz opatrzył nasz chirurg. Reszta oficerów naprzód uciekła. Zapewne lepsze mieli konie.

Popaśliśmy konie pod Stanisławowem. Zapytałem się tego oficera o nazwisko. Odpowiedział mi po francusku, że się zowie Turkil i że jest Finlandczyk. Przy śniadaniu rozgadał się z nami i tak przychylnie nam o różnych sto-

sunkach mówił, żeśmy poznali, iż on Polak. Zapewne raz powiedziawszy inaczej, wstydził się odwoływać, my też jego powody szanowaliśmy i nie nalegaliśmy, aby się do prawdy przyznawał, choć z całej jego mowy niewątpliwie znać było, że nasz rodak.

Przed wieczorem doszliśmy pod Zimnąwodę. We wsi stanął Umiński kwaterą, a moja brygada rozłożyła się na pagórku przed wioską. Rozstawiłem czaty i wysłałem patrole na Grąbków ku Suchy. Oficer z augustowskiego regimentu, Patek, który nad ranem był na rekonesansie, dał znać do obozu, że za nim maszeruje kolumna jazdy, za nią artylerya a na końcu długa kolumna piechoty. Siedliśmy na koń. Jenerał Umiński zaraz przybył i kazał mi wysłać szwadron z 3-go strzelców w pomoc Patkowi, który się wolno cofał. Za laskiem przed nami słychać było ogień między jego flankierami a nieprzyjacielskimi. Szwadron 3-go pułku pomaszerował nie drogą, ale w lewo, ażeby ten lasek okrążyć. Właśnie już na tej stronie lasku było mnóstwo Kozaków, którzy zapewne chcieli na Patka uderzyć, gdy ten drogą przez lasek cofać się będzie. Widząc się odkrytymi, wpadło ich kilkaset z przodu i z boków na szwadron 3-go strzelców. Gdym to ujrzał, wysłałem drugi szwadron za pierwszym. Lecz ten pierwszy pod dowództwem rotmistrza Zawadzkiego tak poważnie się stawił Kozakom i cofając się, stawał do frontu, ilekroć zbliżali się Kozacy, że ci nie śmieli nań uderzyć. Tak nie straciwszy ani jednego człowieka, połączył się on z 2-gim szwadronem, a tymczasem Patek przeszedł lasek bez szwanku. Za nim zaraz kilka szwadronów Rosyan wyszło z lasku, za tymi baterya konna, która na ich prawem się rozwinęła, odprzodkowała i dała do nas kilkanaście razy ognia, ale z tak daleka, że kule ledwie do nas dolatywały. Za baterią stanęły na samym brzegu lasku cztery bataliony piechoty i wkrótce ujrzeliśmy wyjeżdżający z pomiędzy Kozaków liczny sztab na pagórek. Perspektywą dostrzegłem, że kilku oficerów z tego grona także perspektywami

na nas się patrzą. Z pół godziny robili swoje spostrzeżenia, a potem naprzód ich piechota, następnie artylerya, za tą konnica przez lasek poczęły się cofać, nareszcie pozostali tylko Kozacy z tej strony lasku. Umiński kazał pułkownikowi Kostko spędzić ich, co w mgnieniu oka się uskuteczniło. Tylko z augustowskiego pułku major Tysko został od Kozaka dzidą w twarz draśnięty i był to jedyny w tym dniu ranny.

Wzięto do niewoli kilku Kozaków, którzy powiadali, że sam Diebitsch rekognoskował.

Na odwet wysłał nazajutrz jen. Umiński jen. Tomickiego z moją brygadą na rekonesans pod Suchę, gdzie mówiono, że Rosyanie okopy sypią. Tam pokazała nam się cała dywizya piechoty a za nią obóz jazdy. Widzieliśmy, jak siadali na koń, wyleciało z tysiąc Kozaków, ale się skończyło na kilkudziesiąt wystrzałach karabinkowych. Cofnęliśmy się pod Zimnąwodę, nie straciwszy ani jednego człowieka. Kozacy nas eskortowali aż do Grąbkowa. Mieliśmy jednak dość czasu zjeść tam śniadanie z Tomickim, które ogrodnik miejscowy był nam przygotował. Potwierdził on tam to, co wzięci w wigilię Kozacy byli nam powiedzieli, że sam Diebitsch był na wczorajszym rekonesansie. Przyjechał w koczyku do Grąbkowa, tu wsiadł na koń i udał się w lasek za swoją piechotą.

Po tym rekonesansie na Suchę jen. Umiński przeniósł swoją kwaterę do Kamionki, o ćwierć mili w lewo Zimnejwody. Przed tą wioską i my stanęliśmy obozem.

Tam pod Kamionkę przyjechał do mnie z głównej kwatery z Jędrzejowa Maciej Mielżyński i powiedział mi, że mnie przeznaczono na Litwę, a on mnie prosi, ażebym jego, Marcinkowskiego, Logę i Szmytkowskiego, którzy także o to proszą, wziął z sobą. Jenerał Umiński kazał mnie zawołać do siebie i oznajmił mi, że otrzymał rozkaz, ażeby mnie zaraz wysłać do głównej kwatery Skrzyneckiego dla odebrania tam instrukcyi. Zaraz też ruszyłem do Jędrzejowa.

Skoro wszedłem do jen. Skrzyneckiego, zapytał mi się, czy się podejmę z 1-szym pułkiem ułanów i bateryą konną przeprowadzić w Trockie pod Wilno 200 oficerów i podficerów, przeznaczonych na instruktorów dla powstania litewskiego, które podług ostatnich wiadomości było obok Trok zebrane.

„Nigdy, służąc od dzieciństwa, nie wybierałem sobie nic, każdy rozkaz będę się starał wypełnić — była moja odpowiedź. Ale (dodałem), znając Litwę, kraj wszędzie lasami przeplatany, zamiast całej bateryi, proszę tylko o jedno działo i jeden granatnik, ale za to o batalion piechoty".

„Całego batalionu dać ci nie mogę, — odpowiedział Skrzynecki, — bo zdeorganizowałbym cały regiment, lecz z 1-go pułku strzelców wybierz sobie stu żołnierzy i oficerów, jakich chcesz".

Do plutonu konnego artyleryi sam mi wyznaczył Janusza Czetwertyńskiego, a Jakóba Grotkowskiego do pełnienia służby szefa sztabu.

Mówił mi dalej Skrzynecki: „Nie taję ci, że niebezpieczną powierzam ci wyprawę, ale nie mogę nie posłać powstaniu litewskiemu instruktorów, o których proszą".

„Wszędzie (rzeknę) równe niebezpieczeństwo na wojnie i przy takiej wyprawie nic więcej spotkać człowieka nie może, jak śmierć, na co pewnie wszyscy jesteśmy przygotowani. Ale kiedy mnie jenerał wysyłasz tak daleko od siebie i mówisz, że to jest niebezpieczna wyprawa, pozwól jenerał, niech ci zrobię jedno zapytanie".

„Mów" — odpowiedział.

„Dlaczego jenerał (ciągnąłem dalej) po zwycięstwach pod Wawrem i Wielkim Dębem nie uderzyłeś w prawo na Diebitscha?"

„Brała mię (odpowiedział) wielka chętka, ale tylu emisaryuszów z Francyi przybyło do mnie, zaklinając mnie, ażebym głównej bitwy nie wydawał i żebym się starał przedłużyć walkę kilka miesięcy. Musiałem i muszę się jeszcze do tego stósować".

Na to odrzekłem: „Jenerale! żebyśmy główną armię pobili, co było niezawodne, jak ona w błotach od Ryk do Łukowa się rozwlekła, toby negocyacye o nas były łatwiejsze. Nie wierzę ja w żadne negocyacye, tylko w zwycięstwo“.

Jenerał Skrzynecki uwierzył i spuścił się na te negocyacye, a stosując się do tego, co mu radzono z Francyi, opierał się planom Chrzanowskiego i Prądzyńskiego. Korpus główny Diebitscha był tak po złych drogach rozdzielony, że lekkie nasze wojsko z mniejszą artyleryą, bez bagażów, jazda, konie wypoczęte za Warszawą i wogóle więcej nowej jazdy na mniejszych, lecz wytrwalszych koniach, byłoby go pobiło niezawodnie i za Bug na Wołyń przepędziło. Gwardye wtedy, które bardzo W. Książę Michał ochraniał, już się cofały do Kowna. Wtedy to więc była pora na Litwę, w kwietniu, kiedy jeszcze tam powstania nie były rozproszone, a na Wołyń i Podole. Dwernicki i Chrzanowski razem, nie zaś jeden po drugim, byliby dalej zaszli, bo powstania ukraińskie zamiast się częściowo przerzynać do nas, byłyby się z nimi połączyły w całej masie.

Powróciłem do mego obozu. Z 1-go pułku ułanów, który był 640 koni mocny, wyrzuciłem 120 najsłabszych, usunąłem tyleż żołnierzy wiekiem za starych. Z sobą więc wziąłem 520. Z 1-go pułku strzelców pieszych wybrałem kapitana Macewicza, Aleksandra Stryjeńskiego i Szymona Konarskiego, a oni znowu wybrali z pułku tych żołnierzy, w których mieli zaufanie. Dla tych stu pieszych postarałem się o konie. Oficerów i podoficerów instruktorów z piechoty zobowiązałem, aby dostali sobie koników chłopskich, żeby mogli z jazdą porówno maszerować. Do jen. Ledóchowskiego posłałem po 6 saperów i podoficera. Doskonałych dał mi ludzi. I tych na koniki wsadziłem.

Jen. Skrzynecki wtedy właśnie dla zatrudnienia zniecierpliwionego nieczynnością wojska i dla zaspokojenia opinii publicznej w Warszawie, która także na tę nie-

czynność bardzo się skarżyć poczynała, postanowił wyprawę na gwardye, których główna kwatera była w Łomży.

Był to wielki błąd strategiczny, ponieważ kiedy nieprzyjaciel rozdziela swoje siły na dwie części tak odległe, jak Siedlce od Łomży, wtedy należy całą swoją moc obrócić na część silniejszą nieprzyjaciela, nie zaś na słabszą. Jakiż bowiem skutek z pobicia nawet zupełnego słabszej części wynika? nie można mieć nadziei pokonania jej bez strat ze swojej strony, a zatem potem wypadnie zawsze z zmniejszonemi siłami bić się z większemi, które oczywiście nie będą spokojnie stały w chwili, gdy część ich armii znajdować się będzie w niebezpieczeństwie. Można było dobrze obrachować, że skoro Diebitsch dowie się w Siedlcach o naszym napadzie na gwardye, pomaszeruje im na pomoc, przejdzie Bug i pospieszy na ich ratunek.

Byłby ruch Skrzyneckiego ku gwardyom usprawiedliwiony, gdyby był podjęty nie w celu atakowania gwardyi, które przed przewyższającemi siłami rejterować się musiały, ale w celu przymuszenia Diebitscha do opuszczenia pozycyi nad Kostrzyniem, która się Skrzyneckiemu i Prądzyńskiemu zapewne za mocną do atakowania wydawała.

Wtedy, gdy Diebitsch opuścił tę pozycyę i przechodził Bug pod Grannem, należało za gwardyami wysłać oddział jazdy z bateryą, ażeby je pędzić coraz dalej ku Tykocinowi, a z całą armią obrócić się na Diebitscha. Mówię z całą armią, bo należało ściągnąć i korpus Umińskiego, zostawiony naprzeciw Diebitscha dla obserwacyi. Umiński, maszerując równolegle z Diebitschem, miał łatwą przeprawę pod Nurem. Tu Skrzynecki powinien był się z nim połączyć i wtedy mając całą naszą armię w kupie, napaść na Diebitscha z boku podczas jego marszu z Granna do Wysokiego Mazowieckiego, zamiast posuwać się aż do Tykocina za gwardyami, które oczywiście dostać mu nie mogły i usuwać musiały.

Ruszyło się w pochód wojsko przeznaczone na gwardye. Moja mała kolumna, razem wynosząca 820 ludzi, wymaszerowała do Sierocka, a ja tymczasem pospieszyłem do Warszawy po instrukcye od rządu. Oddano mi wszystkie uchwały sejmowe, i odezwy do Litwy. Powróciłem do mojej kolumny w Sierocku, gdzieśmy przeszli Narew i pomaszerowałem z przednią strażą pod dowództwem jen. Jankowskiego, który służył był podemną lat kilka w gwardyi. Był on naówczas kapitanem, a ja podpułkownikiem. W tych stopniach odbywaliśmy razem wojnę w Moskwie i Saksonii. Teraz znalazłszy się pod komendą mego niegdyś podwładnego, nie tylko nic przykrego nie czułem, ale owszem zawsze wolałbym mieć dawnych moich podkomendnych nad sobą, jak nieznajomych. Znał mnie dobrze, wiedział, że przekonany o potrzebie subordynacyi, będę mu posłusznym i nie było pomiędzy nami drażliwości, tak szkodliwej między stopniami. W wojsku są tylko istotnie dwie kategorye: ci, co rozkazy dają, i ci, co ich słuchają, a rady i plany tylko wtedy, gdy dowodzący ich żąda, dawać można.

Wyszedłszy z Sierocka, dopiero pod Długosiodłem natrafiliśmy na Rosyan. Nieco tylko wsi bronili i cofnęli się z niej przed tyralierami jen. Rybińskiego, który także był pod rozkazami Jankowskiego. Skoro tyraliery nasze do wsi weszły, kazał mi Jankowski przejść ją kłusem i formować się po drugiej stronie. Ale skoro czoło 1-go regimentu ułanów dochodziło końca wsi, przypadł Prądzyński do mnie i od naczelnego wodza kazał mi szarżować na batalion gwardyi, cofający się przez groblę między opłotkami.

Maszerowaliśmy szóstkami i tak weszliśmy na groblę, która też nie była szerszą, a zatem formować na niej plutonów nie można było. Gdyśmy uszli kilkanaście kroków, piechota rosyjska z poza mostka, który o sto może kroków był przed nami, rzęsistym nas przywitała ogniem i spostrzegłem, że dyle z mostu zaczęła zbierać. Nie

było czego czekać, zakomenderowałem: Marsz, marsz! Koń mój potknął się przeskakując przez lukę w moście, z którego dopiero dwa dyle zdążyli zebrać, ale się nie przewrócił. Kilkunastu ułanów także przez tę lukę przesadziło i wpadło między piechotę. Był to jegerski leib-regiment. Wtedy te jegry, które na grobli były, rzucały broń i poddawały się. Jednak wielu z nich przeszło było przez rów i płotek i tam bezpiecznie z poza płota ognia do nas w bok o sześć kroków dawało, tak, że adjutant mój, Chłapowski Stanisław, dostał strzał w bok i chociaż kula go minęła, przecież przybitka przeszyła mundur i raniła dosyć mocno. Pomiędzy jegrami na grobli tylko jednego widziałem oficera. Miał białą twarz, jak śnieg. Wcisnął się pomiędzy swoich uciekających i uszedł. Kilku ułanów spadło zabitych i rannych.

Na prawo na łące poza płotem przypadł do nas adjutant jen. Skrzyneckiego, Tomasz Potocki, z plutonem Krakusów białych krakowskich i w chwili, gdy gębę otwierał do powiedzenia czegoś, kula karabinowa wpadła mu w nią i tyłem wyszła. Padł na miejscu. Sądziłem, że na śmierć ugodzony.

Jankowski za mną zatrzymał zaraz drugi szwadron i wszystkimi trzema zamiast na groblę pomaszerował w lewo przez łąkę w zamiarze wpadnięcia z tyłu na batalion, ale zatrzymać się musiał nad rowem, który szedł środkiem łąki, bo był za szeroki i głęboki.

Większa część batalionu wycofała się z grobli i zaraz weszła do lasu, o 200 kroków za groblą leżącego. My za niemi uformowaliśmy się tuż za groblą na prawo. Pod lasem bowiem stały dwa szwadrony Kozaków czerwonych gwardyi, które kilka kroków posunęły się naprzód, jakby do szarży na nas, ale wnet kłusem zwróciły i w las wpadły. Byłem już zakomenderował: Naprzód, marsz! aby stojąc, nie dać na siebie uderzyć. Teraz musiałem krzyknąć: Stój! Przeszedł także groblę, bo na nią zwrócić musiał, Jankowski z trzema szwadronami. Za nimi zaraz

posunęła się piechota Rybińskiego i weszła na prawo i w lewo w las. My zaś w środku drogą wolno za Rosyanami postępowaliśmy, którzy na drodze mieli kilka dział i cofając się, dawali ognia. W lesie po obu stronach szedł ogień rzęsisty między tyralierami. Postępowaliśmy wciąż naprzód w miarę, jak się tyraliery posuwały. Nigdzie oni nie zatrzymywali się.

O pół mili dopiero pod Potyczą zatrzymać się musiały nasze tyraliery, bo tam stała brygada rosyjska piechoty, a przed nią finlandzki jegierski pułk. Finlandczyki te kładąc się na ziemię za wyniosłościami, bardzo celnie strzelali i wielu nam żołnierzy ranili i ubili. Ale skoro jen. Rybiński uformował batalion kompaniami i poszedł do ataku, cofać się poczęli i jegry i brygada. Postępując wtedy za piechotą, widziałem nie tylko jegrów między poległymi, ale i kilka trupów z siemianowskiego gwardyjskiego pułku. Gdyśmy dalej lasem szli za piechotą, przyszło do nas z boku z lasu kilku, coś siedmiu dezerterów z tegoż siemianowskiego pułku. Byli Podolanie.

Pod Sokołowem zatrzymaliśmy się z godzinę, bo naprawiano most, który Rosyanie popsuli. Konie popasały, zanim most sporządzili saperzy. Przeszliśmy w lewo przez bród. Naprzeciw nas stał pułk leib-ułański, a za nim huzarski. Oba się spiesznie cofnęły, skoro bród przechodzić zaczęliśmy. Pognaliśmy za nimi, ale ich nie doszli aż pod groblą Jakacką. Ta jest dość długą. Spostrzegłszy więc ją, wzdłuż całą okrytą przez cofających się ułanów i huzarów, dwa działa konne, które za pierwszym moim szwadronem maszerowały, stanęły wprost grobli i tak żwawo w nich strzelały, że wszystek zapas kul i granatów przez godzinę porucznik Żabiński wypotrzebował. Ułani i huzary zwieszali raz po raz głowy na końskie karki, tłoczyli się kłusem, wielu ich tam paść musiało. Już się zciemniało, gdy ogień ucichł. Odebrałem rozkaz cofnięcia się do Nadbór, gdzie była główna kwatera. Tu mi jenerał Skrzynecki powiedział: Teraz pora dla ciebie, gwardye się cofają,

masz wolne przejście na Litwę. Innych nie daję ci instrukcyi, tylko zaprowadź Litwinom instruktorów i formuj z nich wojsko regularne. Zapytałem go się, czy mam nad nimi objąć dowództwo, bo powiadano mi, że tam są starsi odemnie, np. jenerał Tyszkiewicz. Za jenerałem zapewne tam wyślemy całą dywizyę, — odpowiedział na to nie Skrzynecki, ale Prądzyński, — więc i starszego jenerała.

Wymaszerowałem dopiero nad ranem, bo konie były zmęczone. Pierwszej nocy stanąłem na wysokości Andrzejowa, drugiego dnia w Czyżewie, trzeciego pod Wiszenkami, przededniem 21-go maja przeszedłem Nurzec pod Mieniem i pomaszerowałem na Bielsk. Podczas całego marszu wyobrażałem sobie, że jen. Skrzynecki, ponieważ nie przeszedł grobli Jakackiej ku Śniadowu, widząc, że gwardye mu nie dostoją, wyszle za niemi oddział, a sam z całym korpusem, trzema dywizyami piechoty i tylomaż jazdy zwróci w prawo na Andrzejów do Nuru lub Ciechanowca i połączywszy się z jen. Łubieńskim a ściągnąwszy do Nuru jen. Umińskiego, całą armią wpadnie na Diebitscha. Dlatego w marszu moim dowiadywałem się osobliwie w Strzyżewie o ruchu wojsk obydwóch i dowiedziałem się też pod Mieniem od właściciela, dawnego wojskowego z czasów Księstwa Warszawskiego, który przyjechał konno do mego obozu, że z pewnością Diebitsch przechodzi Bug na dwóch mostach, dopiero co zbudowanych pod Grannem, oczywiście dla niesienia pomocy gwardyom. Posłałem tę wiadomość niezwłocznie do Prądzyńskiego, a że ją odebrał, to wiem od wysłanego z nią przezemnie oficera, któregom po wojnie widział. Musiał także Łubieński, który stał pod Nurem z dywizyą i brygadą jazdy, zajmował Ciechanowiec, oraz do Brańska wysłał patrole, donieść o tem do kwatery głównej. Gdyby był Skrzynecki te wszystkie oddziały skupił, byłby miał wtedy do 60.000 razem. Myślę, że Diebitsch tyle ze sobą nie miał, a jeśliby i miał, to Skrzyneckiemu zostawał wy-

bór, gdzie i jak go atakować. Diebitsch musiał maszerować i flankę mu poddawał.

Nie stało się tak. Bóg inaczej rozrządził. Wracam do Bielska. Jak zwykle w swoim kraju, mieliśmy od każdego właściciela, od każdego chłopa potrzebne i ciągłe wiadomości o nieprzyjacielu. Dowiedziałem się przeto, że w Bielsku stoi 800 żołnierzy z różnych pułków piechoty. Złączeni w batalion marszowy z tych, co po szpitalach byli pozostawali, odbywali oni teraz dniówkę w Bielsku. Doszedłem pod miasto podczas mocnego deszczu. Musieli Rosyanie się dowiedzieć o mojem zbliżaniu się, bo zabarykadowali ulicę pomiędzy pierwszemi chałupami przedmieścia. Zatrzymałem straż przednią, a natomiast wysłałem trębaczy, aby Rosyanom przy barykadzie stojącym zatrąbili. Zsiadło jednocześnie 30 strzelców pieszych z koni i odebrawszy zaledwie kilka strzałów, na które nie odpowiedzieli, rozrzuciło barykadę, a my weszliśmy kłusem na przedmieście. Strzelcy piesze biegli przed naszymi końmi i po bokach ulicy, na której blizko samego miasta wpadliśmy na stojącą główną wartę Rosyan wraz z wszystkimi doboszami. Stanęła ona pod bronią, a dobosze wzięli za bębny. Kazałem strzelcom wziąć tych ostatnich przed siebie i pilnować aby bębnili. Tak weszliśmy za nimi na rynek. Jeden szwadron zaraz przeszedł miasto naprzód, aby przed niem porozstawiać czaty, a aryergarda rozstawiła je w tyle. Tu już trzeba było strzedz się dokoła.

W pół godziny pozbierano wszystkich Rosyan, których było przeszło 600 z oficerami i wziąwszy karabiny i amunicyę na dwa wozy, wyszliśmy ku Białowiejskiej puszczy, gdzie, jak miałem wiadomość od mieszkańców, dwa bataliony rosyjskiej piechoty, dwa szwadrony ułanów i kilka sotni Kozaków oblegało kilkuset powstańców litewskich.

Stanąłem obozem o pół mili za Bielskiem nad wieczorem, raz, aby się dobrze o położeniu rzeczy wywiedzieć, a po drugie, że coraz gęstsze dochodziły mnie od

mieszkańców wieści, że Diebitsch, przeszedłszy Bug z całą armią pod Grannem, właśnie ciągnie w tę stronę. Pomyślałem sobie, że w takim razie albo jemu, albo gwardyom, jeśliby się ku niemu, jak były powinny, zbliżały, będę mógł zadać jaką szkodę cząstkowo, a przez to w głównej rzeczy stać się naszej armii pomocnym. Nie mogło bowiem wyjść mi z głowy przekonanie, że Skrzynecki na Diebitscha w marszu uderzy i dlatego też zatrzymałem się między Bielskiem a Berezowem.

Tutaj z placówki od południowej strony przyprowadzono mi pułkownika Scharnhorsta [1]), adjutanta W. Ks. Michała, który wracał od Diebitscha z Grannego i dążył do Białegostoku, gdzie już był W. Książę. Pułkownik Scharnhorst, ujęty grzecznem naszem przyjęciem, opowiadał mi, że konie jazdy w korpusie Diebitscha już chodzić nie mogą z głodu i że kirysyery pieszo wszystkie swoje prowadzą. Ta okoliczność tłómaczy, dlaczego w kilka dni potem około Ciechanowca nie mogli rozbić naszego regimentu piechoty kaliskiej, uzbrojonego tylko w kosy.

Scharnhorsta odesłałem do naszej głównej kwatery bryczką, posadziwszy przy nim oficera, a na ławeczce z tyłu dwóch ułanów z nabitą bronią na przypadek, jeśliby patrol nieprzyjacielski spotkano. Dostali się do Prądzyńskiego i wręczyli mu raport, w którym znów donosiłem o marszu Diebitscha, bo Scharnhorst więcej opowiadał, jak był powinien, ale on mniemał zapewne, że my o wszystkiem wiemy.

23-go maja mieszkaniec wyprowadził mnie o pół mili z Berezowa pod wieś Dubinę, skąd dobrze widać było wieś Hajnowszczyznę. Tam stał za wsią obóz rosyjski, z którego patrole ułańskie i kozackie objeżdżały puszczę, ażeby z niej powstańców nie wypuścić. Od Berezowa nie spodziewali się nieprzyjaciela, więc ani placówek, ani czat nie stawiali.

---

[1]) Był to synowiec sławnego twórcy landwery pruskiej.

Wysłałem tedy mego adjutanta Wielopolskiego po cały mój oddział i pomaszerowałem na Hajnowszczyznę. We wsi i za wsią stali Rosyanie. Gdy ujrzeli kolumnę na górce, a maszerowałem bez przedniej straży, bez szpicy, tylko z trębaczami na przedzie, ażeby ich jak najdłużej w przekonaniu utrzymać, że to idzie własna ich kawalerya, wysłali kilku Kozaków ku nam. Grotkowski, umiejąc dobrze po rosyjsku, pojechał naprzeciw nim i rozmawiać zaczął. Ale przebiegłe Dońce poznały nas i cwałem puściły się nazad do swoich. Obóz rosyjski, nie będąc pewnym, co to za wojsko maszeruje, już stał pod bronią. Skoro Kozacy nawrócili, zakomenderowałem: Marsz, marsz! Pierwszy szwadron, mimo ognia z poza domów, wpadł do wsi za te domy. Wszyscy, którzy za domami byli, około 300 ludzi, broń rzucili. Kilku naszych zostało trafionych od kul. Tu Grotkowski Jakób, wskroś przeszyty, spadł z konia nieżywy.

Z obozu za wsią zaraz do nas strzelać zaczęto i całą drogę i mostek wzięto w silny ogień. Mieszkaniec, który mię konno prowadził, powiedział mi, że na lewo wsi przez łączkę przejść łatwo i rowek nie szeroki. Więc podczas tego, gdy pierwszy szwadron wpadł do wsi, poprowadziłem drugi w lewo wsi i przez łączkę się puszczałem. Koń mi grzęznął trochę, jednak dostałem się do rowu, który przesadziłem. Ale zaraz za mną kapitan Karbowski na czele szwadronu tak uwiązł, że zsiąść musiał, a koń sam do mnie się wydobył. Miarkując, że ułani obciążeni jeszcze gorzej grzęznąć będą, zakomenderowałem, ażeby nazad ruszyli do wsi, a sam schwyciwszy konia Karbowskiego, przeskoczyłem rów napowrót. Dwa działa, które także za tym drugim szwadronem przeprowadzić tamtędy chciałem, postawiłem teraz wprost rosyjskich. Czetwertyński puścił kilkanaście granatów tak trafnie, żeśmy pod ogniem nieprzyjacielskim, osłabionym przez nasze granaty, szybko przeszli. Zebrawszy oba szwadrony, stanęliśmy w linii naprzeciw piechoty rosyjskiej, uformowanej w czworobok

i zaraz poszliśmy do szarży. Doszły one dość blizko, ale przyjęte rzęsistym z blizka ogniem, obróciły w tył. Zatrzymałem ich na tem samem miejscu, skąd byli do szarży poszli. Skoro się wyrównali rzekłem do nich: Żołnierze, jeśli nie rozbijecie tej piechoty, to z koni i poddajcie się, bo nieprzyjaciel przed nami, ale i za nami, nie masz ratunku, trzeba naprzód, marsz! Trafiło to do ich przekonania, bo poszli i rozbili. Jedno tylko działo uciekło do lasu.

Przyczyniło się i to także do udania się tej drugiej szarży, że porucznik Konarski, którego między domami wysłałem, z 30 strzelcami, którzy byli z koni zsiedli, tak śmiało się posuwał, że nie powstrzymał kroku nawet wtedy, gdy się pierwsza szarża nie powiodła, a gdy druga dochodziła, on już na narożnik czworoboku z ludźmi swymi wpadł i jedno działo zabrał.

Mieli Rosyanie jeden batalion w rezerwie. Ten stał w linii na brzegu lasu pomiędzy drzewami, a zatem jazdą atakować go nie mogłem. Wysłałem Macewicza ze wszystkimi strzelcami pieszymi, którzy w łańcuchu po dwóch, jak do tyralierki na tę linię śmiało posunęli się. Tymczasem Czetwertyński wciąż im dopomagał, bijąc celnie kartaczami w batalion, który przed tym ogniem wkrótce w głąb lasu cofać się począł.

Podczas tego wysłałem był na lewo szwadron jeden na ułanów. Maciej Mielżyński zabrał im majora, pięciu oficerów i kilkunastu żołnierzy.

Rosyanie w las się rejterowali drogą do Białowieży, która z początku przez znaczną odległość prosto się ciągnie i dość jest szeroka, tak, że spostrzegłem za piechotą mnóstwo powózek całą drogę zajmujących i uciekających. Kazałem Czetwertyńskiemu puszczać granaty nie na batalion, cofający się, ale przez podniesienie za batalion do tych powózek w nadziei, że się pomiędzy niemi pourywają konie i że się zrobi nieporządek taki, iż powózki nie będą mogły postępować, a tem samem, że piechota bę-

dzie znagloną zatrzymać się. Maszerowałem za nią z jednym plutonem porucznika Kamińskiego. Musiały się powózki zatrzymywać i być na zawadzie piechocie, bo ta w prawo i w lewo w las się rozproszyła, ale odstrzeliwała się z poza drzew naszym strzelcom pieszym, którzy na nią wciąż nacierali i do niewoli brali. A że oni, poddając się pojedyńczo, rzucali broń a nasi wciąż naprzód postępując, nie mieli czasu jej zbierać, żal mi się zrobiło karabinów, którymi można było wielu powstańców uzbroić i kazałem tym samym jeńcom (z muromskiego pułku) za sobą iść, karabiny zbierać i odnosić z lasu. Wtem świsnęła mi kula koło ucha, wystrzelona z tyłu za mną. Obróciłem się i widząc, że jeszcze się dymi z lufy, która, jak mocno na razie przeświadczony byłem, na mnie była wycelowaną, bom ją widział w ręku żołnierza w płaszczu rosyjskim, spiąłem konia i mając pałasz dobyty w ręku, ciąłem przez twarz tego człowieka. W wieczór powiedziano mi, że to był Litwin, który do nas był przeszedł. Znało go kilku naszych, a zatem nie wątpiłem, że tak było, ale z drugiej strony nie miałem sobie nic do wyrzucenia, gdyż nieroztropnie postąpił sobie, że strzelał za mną w lesie.

W tej samej chwili Gustaw Potworowski otrzymał mocną ranę kartaczową. Był to ostatni strzał nieprzyjacielski z ostatniej armaty postawionej za mostkiem w lesie dla zatrzymania plutonu Kamińskiego, który śmiało na nich nacierał.

Nasza strata dnia tego była mało znaczącą. Niewolnika wzięliśmy jedenastu oficerów i kilkaset żołnierzy i działo. Żołnierzom kazałem zdjąć surduty, dać po rublu na życie i puścić, bo prowadzić ich nie mogłem. Karabinów przeszło tysiąc na wozy wpakowano. Arsenał ten oddałem pod dozór oficera artyleryi Kaczanowskiego.

Na noc powróciliśmy do Berezowa. Nazajutrz wymaszerowałem przez puszczę do Masiewa, gdzie się złączył z nami nadleśniczy Ronke z 200 powstańcami, którzy tam wiele szkody Rosyanom ciągnącym z Grodna do Brześcia

Litewskiego wyrządzali. Chciałem przeto zostawić Ronkiego w puszczy, pewnym będąc, że z miejscowymi ludźmi więcej dokaże, niżliby mógł mi w polu pomódz. Ale mi się tłómaczył, że się już dłużej w puszczy utrzymać nie potrafi, ponieważ Rosyanie schwytali kilku z jego ludzi, których zmuszają, aby pokazywali im wszystkie ścieżki i zakątki, a tak niechybnie wkrótce dostałby się z swym oddziałem w ich ręce. Pozostał tylko w puszczy Jan Schröter, stary wojak, który, już w 1812 roku dał się we znaki Rosyanom. Z nim zostało około 100 ludzi. Jemu to oddałem pod straż tych 11 zabranych oficerów. Stanisław Chłapowski ich do niego odprowadził.

Z Masiewa wymaszerowałem do Chrinek, gdzie także wielu ochotników do nas przybyło. Zacząłem tam formacyę 25-go regimentu piechoty pod dowództwem Macewicza. Dlatego dałem mu nr. 25, że około Warszawy było 24 pułki piechoty liniowej a 5 lekkiej. Rozpocząłem także formacyę pułku strzelców konnych pod Grabowskim, kapitanem z szaserów gwardyi. Temu dałem nr. 6, ponieważ gwardya szaserów wzięła była nr. 5, nie chcąc nosić imienia gwardyi. Nareszcie zacząłem tworzyć i pułk ułanów pod Józefem Gedrojciem, bardzo dobrym oficerem. Ze wszystkich stron przybywali ochotnicy. Mustrowali ich oficerowie i podoficerowie ze mną przysłani, skoro tylko chwila wolną była, nawet w czasie marszu. Broni nam nie brakowało. Wzięliśmy na przeszło stu powózkach broń i proch zabrane w Bielsku i pod Hajnowszczyzną.

W Chrinkach przybyli do nas obywatele i uwiadomili, że kompania rosyjska prowadzi ku Wołkowyskom wielu powstańców wziętych w Augustowskiem. Prosili, żeby tych jeńców odbić i uwolnić. Nie mogłem tego uczynić, ponieważ byłoby to mnie zatrzymało ze dwa dni, a miałem rozkaz zaprowadzić instruktorów w Trockie. Był to zatem cel główny, dla którego należało poświęcić poboczne, mniejsze, acz bardzo zachęcające, jak np. uwolnienie najpewniej na Sybir prowadzonych rodaków. Do-

wiedziałem się także od tych obywateli, że Rosyanie bardzo nacierają na powstańców koło Wilna i że ich oddziały bez doświadczonych oficerów rozpraszają się. Trzeba się więc było spieszyć.

Gdyśmy z Chrinek maszerowali ku Wolpie, zbliżyli się ku nam Kozaki gwardyjskie i tylną moją straż niespodzianie zaatakowały, ale podpułkownik Niezabitowski, doświadczony oficer, nie dał sobie szkody zrobić, odparł ich, nie straciwszy ani jednego człowieka, raportował jednak, że te Kozaki czerwone bardzo śmiało nacierają. Dla powstrzymania ich popędu zostawiłem we wsi 20-tu strzelców pieszych, którym za ostatnimi domami tej wsi koledzy trzymali konie. Na pagórku o kilkaset kroków za tąż wsią zatrzymałem się z plutonem ułanów, wystawiając dwóch ułanów o 10 kroków przed plutonem, jakby na czatach. Kozacy nie mogli widzieć strzelców we wsi, bo ci za domy się pokryli, a dobrze widzieli za wsią na wzgórku i ułanów dwóch na czatach i pluton za nimi. Kolumna moja cała maszerowała spokojnie i już była za laskiem niewidzialną. Kozacy zbliżyli się śmiało ku wsi. Znać było, że zwiódł ich widok plutonu i czat i że pewni byli, że już nikogo z nas niema we wsi, bo wbrew swemu zwyczajowi postępując, gdyż zwykle najprzód nad wsią z obu stron po jednemu się posuwają i śledzą, wjechał jeden do wsi a dwaj inni za nim także już byli blizko domów, kiedy nasi strzelcy dali ognia. Pierwszy zaraz spadł mocno ranny z konia. Z dwóch za nim jadących jeden od razu był trupem, drugi drapnął i zapewne dał znać swoim, że wieś obsadzona. Nasi strzelcy zaraz się cofnęli, siedli na koń i z rannym Kozakiem do mnie doszli. Ten Kozak powiadał, że są pod komendą jen. Gerstenzweiga, który z brygadą huzarów i ułanów i bateryą konną za nimi maszeruje. Kozak był tak mocno ranny, żem go musiał zostawić. Wkrótce go pewno towarzysze znaleźli, bo chłopi, których kilku po wyjściu strzelców ze wsi szło za nami z żalem, że odchodzimy i widziało, gdzie

Kozak leży, musieli go pokazać lub zanieść do swoich. Następnych dni już Kozacy dawali pokój mojej tylnej straży.

Gdzieśmy tylko przez wsie przechodzili, lud nas brał z początku za Rosyan i nie prędko chciał wierzyć, żeśmy Polacy.

Z Wolpy wysłałem ludzi nad Niemen dla przygotowania nam promu i łódek. Przeprawiliśmy się pod Zelwanami 28-go. Nazajutrz pomaszerowaliśmy przez mosty do Różanki Paca, a stamtąd na Zołudek Tyzenhausa. Ochotników przybywało. Przybył i pułkownik Sołtan z Mikulskim. Sołtanowi oddałem dowództwo nad formującą się brygadą jazdy. Ale że on służył był w naszej artyleryi i tłómaczył się, że nie zna mustry jazdy, przysłałem mu Stefana Chłapowskiego, który lat 10 służył w 3 cim ułanów. Od tego łatwo mu było się nauczyć tych ruchów jazdy, które się na wojnie wykonywają. Służbę ogólną znał Sołtan dobrze.

Od mieszkańców dowiedziałem się, że w Lidzie stoi batalion piechoty. Trudno mi go było atakować w mieście, nie mając tylko 100 strzelców pieszych i nowy batalion wcale jeszcze niewymustrowany. Wysłałem więc w nocy kilka oddziałów bokiem, żeby ten batalion nad ranem z drugiej strony miasta zaalarmowały, a sam podsunąłem się pod miasto. Dowódzca batalionu, obawiając się zapewne odcięcia od Wilna, wymaszerował z miasta. Skoro mi o tem znać dano, przeszedłem kłusem przez miasto i zbliżyłem się do batalionu o półtora tysiąca kroków za miastem. Widząc posuwających się ułanów, uformował się w czworobok na drodze. Czetwertyńskiemu kazałem dać ognia z dział. Rosyanie też, skorośmy się z miasta na drodze pokazali, zaczęli do nas z dwóch dział strzelać. Tymczasem uformowałem jeden szwadron na drodze, a drugi na lewo w polu, ażeby nim na narożnik prawy czworoboku, zawsze najsłabszy, uderzyć. Poszły oba do szarży, żaden się nie zatrzymał. Kapitan Krajewski, dowodzący

szwadronem na drodze, wpadł najpierwszy o 30 kroków przed swymi ludźmi w czworobok na dzielnym koniu, który skoczywszy na bagnety, przewrócił się zabity, a Krajewski przez jego łeb spadł w czworobok, ale nawet nie był rannym.

Maciej Mielżyński wpadł prawie jednocześnie przez prawy bok czworoboku i chorążemu wydarł chorągiew z ręki. Oczywiście, że za nimi wtargnęli także ułani pomiędzy Rosyan, którzy broń rzucili. Major uciekł bokiem do lasu, ale go ułan schwycił i przyprowadził. Inni oficerowie zaraz się z żołnierzami poddali.

Nie było między nimi żadnego Polaka z Litwy, lecz między żołnierzami kilkudziesiąt znaleźliśmy rodaków, ci zaraz się oświadczyli, że w naszą przechodzą służbę. Ksiądz Loga zgromadził ich do kościoła i odebrał od nich przysięgę, chociaż nasze wojsko nowo formowane w Królestwie przysięgi żadnej nie składało.

Potyczka ta dała nam w ręce dwa działa z jaszczykami i amunicyą i dobrymi zaprzęgami, oraz mundury 400 ludzi piechoty, których znów puścić musiałem, dla formujących się do dział kanonierów z przybyłych ochotników. Czetwertyński zajął się gorliwie organizacyą i tegoż samego dnia miał pięć dział z jaszczykami i kanonierami.

Potrzeba było dać odpoczynek koniom, które całą noc i ranek były w robocie i napaść je. Więc wysławszy patrole konne, wraz z strzelcami pieszymi, ponieważ zaraz od Lidy zaczynają się lasy ku Wilnu, roztasowałem się za miastem na drodze do Mytów, którędy mi wypadało maszerować w Trockie, gdzie podług danego mi rozkazu miałem się z powstaniem litewskiem złączyć.

Zaraz jednak z południa po kilkugodzinnym spoczynku otrzymałem raport, że w lesie natrafiono na batalion jegrów, który dostrzegłszy naszych, zaraz przeciw patrolowi wysłał tyralierów. Oficer, który patrolem dowodził i cofnąć się był zmuszonym, miał czas spostrzedz na

szerokiej drodze, przez las ciągnący się ku Wilnu, jest to bowiem trakt główny, długi szereg wozów eskortowanych przez piechotę.

Mieszkańcy, którzy do obozu naszego ze wszech stron przybywali, objaśnili nam, że to są wozy i konie, które z Wilna wyszły z przeznaczeniem do Brześcia litewskiego i że je eskortuje oddział piechoty jegrów i oddział Kozaków.

Obsadziłem pierwsze domy Lidy moją nową piechotą, około 300 ludzi, ponieważ żołnierz nie ostrzelany jeszcze najprędzej dotrzyma za płotami, domami, drzewami. Jazdę całą wziąłem na lewo przy mieście, żeby wpaść z boku na ten oddział, jeśliby się posuwał ku miastu, dokąd miał, jak mi mieszkańcy mówili, przeznaczenie dnia tego.

Dowódzca jednak uznał za rzecz roztropną zatrzymać się i udać w bok do wsi o milę od Lidy. Sam z większą częścią oddziału umieścił się w zamku żyrmońskim, którego podwórze i wszystkie zabudowania do pałacu należące dobrze oparkanione i otoczone lasem, przedstawiało bardzo bezpieczne dla piechoty stanowisko.

Mając o tem pewne doniesienie przez mieszkańców, chciałem popróbować szczęścia i po zachodzie słońca kazałem zamek atakować przez tych właśnie żołnierzy, którzy rano wzięci przez nas, ofiarowali się wnijść w naszą służbę. Na czele ich jednak wysłałem oficera z 12-tu starymi żołnierzami naszymi.

Poszli żwawo do szturmu, ale Rosyanie nie zaspali, byli na ostrożności i przygotowani, dali ognia z poza parku i nasi musieli się cofnąć. Miałem tem większą nadzieję pomyślnego skutku, że nad wieczorem mocno padać, prawie lać poczęło. Więc się spodziewałem, że więcej bagnet, jak proch będzie w robocie. Ale Rosyanie zapewne w zabudowaniach broni nie dali zamoknąć i puszczała im bardzo dobrze, gdy nasi natarli. Uciekł był z zamku żyrmońskiego chłopek, który może przesadzał, ale zaraz po ataku opowiadał żołnierzom, że Rosyan bardzo wiele

stoi za parkanami, że stajnie i stodoły ich pełne. Nie śmiałem więc już powtórzyć ataku. Noc była nadzwyczaj ciemna. Ogień przeto i w lesie się odbijając, liczniejszych nieprzyjaciół żołnierzom wystawiał. Oficer dowodzący, Zabiełło, zaraz został ranny, nie mógł się w ciemności dostać do nas i musiał całą noc pod drzewem przeleżeć. I to przyczyniło się zapewne do ostudzenia zapału w tych żołnierzach, którzy dopiero co zostali naszymi. Prócz tego, mając jeszcze na sobie mundury rosyjskie, tem więcej się obawiali dostania się w niewolę.

Z żalem tedy, że tego konwoju, który dla powstańców mógł się był wielce przydać, zabrać mi się nie udało, ruszyłem do Mytów przededniem, ponieważ tam tylko był most na Dzitwie, którą przejść musiałem. Potem już bez przerwy trzy dni maszerowałem. Trzeciego przeszedłem Mereczankę przez most pod Oranami, który Mielżyński z patrolem z 60 ludzi bardzo śmiało i zręcznie opanował, chociaż stał tam na straży oficer z oddziałem piechoty, ale nieostrożnie, bo zamiast przy moście, stał we wsi. Dostał się on do niewoli. Przysłał go tam z Merecza jen. Kuruta, który był za mną wyprawiony przez Diebitscha i którego przednia straż już była w Mereczu.

Tu przybył obywatel powracający z Augustowskiego i powiedział, że od Łomży maszeruje wojsko polskie ku Kownu i że już widział w Kalwaryi, skąd jedzie, ułanów naszych. Na zapytanie moje nie umiał mi jednak odpowiedzieć, ile wojska naszego tam maszeruje i kto niem dowodzi. Uprosiłem go więc, ażeby natychmiast tą samą drogą nawrócił i pojechał jak najspieszniej, przeprzęgając po drodze konie u obywateli. Podjął się tego bez wahania, zrozumiawszy, jak ważną dla nas jest rzeczą skomunikować się.

Wiadomość ta nadzwyczajnie mnie ucieszyła dla sprawy naszej. Już dokładnie wiedziałem o siłach rosyjskich na Litwie się znajdujących i o tych, które w dni 15 przybyć miały i sądziłem, że dywizya jedna piechoty

jest dostateczną do zniesienia tych oddziałów, które na Litwie się znajdowały, nim te od Smoleńska i Wielkich Łuk przybyć zdołają. I takby się stać mogło, gdyby nie stracono 15 dni czasu.

Domyślając się, że to maszeruje dywizya, o której mi mówił, żegnając się ze mną Prądzyński, a nie wiedząc, kto komenderuje, napisałem do jenerała dowodzącego.

Napisałem wszystko, o czem się byłem już o położeniu rzeczy na Litwie dowiedział, to jest, że w Wilnie stoi tylko 3000 piechoty, że tam jest na składzie do 60.000 karabinów i 60 dział, które odprowadzono dla tego, że tyle koni Rosyanom już padło, ale że za mną idzie Kuruta w 3000 ludzi, a od Dynaburga Tołstoj w 20.000 i dążą na obronę Wilna. Radziłem przeto, że należy z szosy ku Kownu zwrócić się w prawo, przeprawić się przez Niemen w najbliższem miejscu i w prostym kierunku maszerować ku Wilnu, ku któremu jako straż przednia będę dążył, łącząc się po drodze z powstańcami, o których już miałem pewne wiadomości.

Ruch na Wilno i dla wrażenia moralnego i jako na punkt strategiczny, środkowy, do którego wszystkie oddziały nieprzyjacielskie dążyły, tak mi się ważny, a prosty i łatwy do zrozumienia wydawał, że ani chwili o wykonaniu nie wątpiłem. Wzięcie Wilna byłoby w kraju całym podniosło ducha i za granicą ogromne wrażenie zrobiło. Mogło zmienić cały bieg wypadków i szalę wojny na naszą stronę przeważyć.

Obywatel ten, którego nazwiska nie wymieniam, bo może żyje dotąd na Litwie, sprawił się prędko i gorliwie. Przybył pod Uchogosty 3-go, tam, gdziem mu powiedział, że stanę obozem i przywiózł mi list. od jen. Dembińskiego, który mi odpisał, że nie on dowodzi, ale Giełgud, że on podziela zupełnie moje zdanie, iż wypadałoby maszerować wprost na Wilno, ale że jen. Giełgud owszem opuścił szosę, nie w prawo, lecz w lewo pomaszerował do Giełgudyszek, ażeby tam przez Niemen się przeprawić, a jemu,

Dembińskiemu, przysłał już drugi rozkaz, aby z Alexoty do Giełgudyszek przymaszerował. Donosił mi także jen. Dembiński o bitwie pod Rajgrodem, w której Franciszek Mycielski zginął.

Skoro odebrałem od jen. Dembińskiego wiadomość, że jen. Giełgud ma dowództwo i maszeruje, ażeby przejść Niemen pod Giełgudyszkami, napisałem do niego obszerną relacyę, jaką zebrałem o korpusach nieprzyjacielskich, które z trzech stron dążyły na obronę Wilna. Wyłożyłem mu potrzebę uprzedzenia ich i zdobycia Wilna, wystawiłem, jak z tego środkowego punktu, gdzie zapas broni, amunicyi, gdzie wszelkich rzemieślników zastaniemy, wielką była możność pobicia tych korpusów, atakując ich pojedyńczo jeden po drugim. Dodałem, że ściągnąć należało wszystkie oddziały powstańców, którzy po większej części byli porozpraszani po borach, że on z Giełgudyszek może pościągać wszystkich tych, co są w różnych miejscach na Żmudzi, a że ja pociągnę ku Wilnu i w okolicę Trok, gdzie, jak mi wiadomo, kilka oddziałów powstańców po lasach się kryje, że potem przejdę Wilię, ażeby się z nim tam, gdzie on rozkaże (Giełgud był jenerałem dywizyi) połączyć i że go proszę, aby mi przez oficera, którego z tym listem posyłam, przysłał rozkazy a oraz zapewniam, że skoro wypełnię dany mi przez naczelnego wodza rozkaz zaprowadzenia instruktorów dla powstańców w Trockiem, słuchać będę jego (Giełguda) rozkazów. Nalegałem jednak na to jak najmocniej, aby połączenie to jak najspieszniej nastąpiło i to w takiem miejscu, z któregoby na Wilno marsz mógł być jak najskorzej wykonanym połączonemi naszemi i powstańców siłami. Chociaż korpus Giełguda okazał się słabszym, jak głoszono, mogliśmy zebrać z powstańcami 25.000 i być silniejszymi, jak oddzielnie każdy korpus nieprzyjaciela.

Dnia 4-go czerwca ruszyłem z pod Uchogostu w kierunku Trok. Do szwadronu przedniej straży, z którym maszerowałem, przyjechał chłop z wiadomością, że we wsi

o pół mili przed nami rozłożył się przy dworze oddział Kozaków, przybyłych w nocy z Kowna i że tam popasają. Pospieszyłem kłusem z tym szwadronem i 50 strzelcami powstańców, których także na konie byłem wsadził, do tej wsi i tak żywo całe podwórze otoczyłem, stawiając 1-szy pluton Zabiełły w bramie, że Kozacy nie mieli czasu odwiązać koni od sztachet i wsiąść na nie. Oficer wypadł z domu i bronić im się kazał, co też walecznie uczynili i z jańczarek nam kilku ranili. Zabiełło miał rękę przestrzeloną. Wsiadło ich też kilkunastu na koń i puściło się na pluton w bramie, lecz ten nadstawiając lanc, przedrzeć się im nie dał. Tymczasem powstańcy, dobrzy strzelcy, zsiadłszy z koników poczęli ich z poza sztachet zblizka tak prażyć, że się poddali wszyscy z oficerem, któremu odebrano papiery. Miał on list od jen. Osten-Sackena do Chrapowickiego, gubernatora w Wilnie, wzywający go, aby z tem, co może, maszerował naprzeciw niego, ponieważ się obawia, że się nie zdoła własnemi siłami dostać do Wilna. Oficer ten miał rozkaz na piśmie przedarcia się manowcami do Wilna, nie główną drogą, którą przecinali powstańcy. Zabrawszy konie, broń i oficera, oddałem Kozaków, z których połowa była nierannych, obywatelowi pod opiekę. Nasi chirurgowie opatrzyli ranionych. Myślę, że kozak bez konia nic nie znaczy. Przy naszych spiesznych ruchach prowadzić ich byłoby za wiele kłopotu. Ułani odebrali im po kilkaset podobno dukatów. Wszyscy ci Kozacy, prócz jednego młodszego, byli stare, brodate Dońce. Już dalej maszerowałem, gdy jeden Kozak jeszcze z boru się pokazał, poddał nam się, mówiąc, że woli nam, jak żeby chłopi go schwycili.

Tego samego wieczora, 7-go czerwca przymaszerowałem do Kitowiszek, gdziem wiedział, że ks. Gabryel Ogiński na mnie czeka. Miał on przy sobie 350 akademików wileńskich pod dowództwem profesora Gronostajskiego i oddział z dwustu kilkudziesiąt ludzi złożony, wszyscy w myśliwskie fuzye uzbrojeni. Młodzież przez

kilka tygodni po lasach ukrywać się musiała, ścigana bezustannie przez piechotę i Kozaków, zwanych Kabardyńce, dlatego, że pochodzili z 8 pułków, które na linii Kabardy pod Kaukazem stoją. Z każdego pułku przysłano ich po stu na naszą wojnę pod dowództwem pułkownika Wersulin. Akademicy już kilka razy przez nich napadnięci byli, kilkudziesiąt z swoich stracili, wszyscy byli marszami strudzeni. Oddałem ich pod dowództwo Aleksandra Stryjeńskiego, który w kwatermistrzowstwie odbył obie wojny w Turcyi. Dobry oficer, charakter pewny a miły, doskonale wychowany człowiek, zdawał się jakby z umysłu stworzony do prowadzenia wykształconej młodzieży, jaką ta była.

Oddział zaś z chłopów złożony przyłączyłem do 25-go pułku piechoty, który się dopiero formował. Dowodził nim Macewicz. Dodałem mu za adjutanta pułkowego I. Domejkę, człowieka znakomitej nauki. Jako nieprzygotowany żołnierz, wymawiał mi się, że służby nie zna. Musisz się nauczyć, — rzekłem, — tylko żołnierzy mieć tutaj muszę. Ze szlachetną uległością usłuchał mnie i wziął się zaraz do służby gorliwie. Znakomita to głowa i charakter.

Nikt tej nocy nie spał.

O północy wymaszerowaliśmy z Kitowiszek. Stanęliśmy przy głównym trakcie z Kowna do Wilna. Tam się złączył z nami Matuszewicz z kilkuset ludźmi dobrze uzbrojonymi. Stanęliśmy pod Zoślami, gdzie oficer od Giełguda przywiózł rozkaz, abym cały mój oddział rozłożył nad Wilią od północnej strony, a sam do niego przybył do Kiejdan dla umówienia się o dalszych działaniach. Już przejście Wilii oddalało mię od Wilna, ale wykonałem rozkaz, przeszedłem Wilię na promach i statkach pod Janowem, rozłożyłem oddział około Zejm, a sam z Maciejem Mielżyńskim na rozstawionych koniach pospieszyłem 8-go do Kiejdan, gdziem zastał Giełguda w dworcu Czapskiego. Tak wiele obywateli już tam było przybyło do Giełguda, że cała sala była napełnioną.

Po przywitaniu i zdaniu jen. Giełgudowi raportu z mego oddziału, to jest z liczby, z którą wymaszerowałem z pod Warszawy, z nowo formujących się czterech regimentów jazdy, dwóch piechoty, do czego użyłem wszystkich oficerów i podoficerów przyprowadzonych z sobą, z liczby tych regimentów, czyli z przybyłych ochotników i zebranych przezemnie powstańców, tudzież z 2000 karabinów i prochów na wozach przyprowadzonych, — zdawszy, mówię, taki raport, który mogłem na sali przy wszystkich zrobić, poprosiłem jen. Giełguda i Dembińskiego, aby poszli ze mną do osobnego pokoju. Tam powtórzyłem dobitniej jeszcze jak w poprzedniem piśmie potrzebę wzięcia Wilna, nim się tam korpusa nieprzyjacielskie połączą, to jest Kuruta, który za mną maszerował aż w Trockie, Sacken od Kowna, Tołstoj od Dynaburga, Savoini od Smoleńska. Przełożyłem, że do połączenia się w Wilnie korpusy te potrzebować będą mniej więcej 10 do 15 dni, a my przed Wilnem możemy być w 5, i zabrawszy tam zapasy i urządziwszy zbrojownię, uderzyć na ten korpus, który będzie najbliższy, a tak możnaby, obracając całe nasze siły, pobić jeden po drugim nadchodzące oddziały. Żałowałem przeto, że Giełgud już był wysłał Szymanowskiego z kilkoma tysiącami do Żmudzi. Tłomaczył się odebranem przez emisaryusza poleceniem zdobycia Połęgi, dokąd miały przypłynąć z Francyi okręty z ochotnikami, oficerami, bronią i amunicyą. Zgodził się jednak na to, aby zaraz na Wilno maszerować, kazał mi wrócić do mego korpusu, pozostawić mu dwa regimenty jazdy i 25-ty piechoty, a z resztą pomaszerować naprzód i przejść Wilię pod Czabiszkami. Powiedział mi nadto, że zawsze dniem jednym będzie za mną. Dembiński ani słowa przeciw temu planowi wtenczas nie powiedział.

Wyjechałem, dwa kwadranse zabawiwszy w Kiejdanach. Powróciłem do Zejm i zaraz wymaszerowałem. Nazajutrz, 9-go rzuciłem most na świętej rzece, a na drugi dzień pod Czabiszkami, przeszedłem na promach Wilię

i przybyłem do Rykont 12-go, w dniu w Kiejdanach umówionym. Moja straż przednia szturmem odebrała most na rzece Wace i przy nim stanęła.

W marszu posyłając kilka razy oficerów do Giełguda z raportami, dowiedziałem się od nich, że nie maszeruje. Pisałem do niego żeby nie tracił czasu i żeby na tę samą stronę ściągnął Dembińskiego, bo on przecież od północy atakować Wilna nie może, bo go rzeka od miasta dzieli, że tym sposobem nasze siły będą rozdzielone.

Za mostem na rzece obsadziłem folwark oddziałem powstańców, z 60 ludzi złożonym, których, jako dobranych i największem poświęceniem celujących ochotników, Litwini wyprosili u mnie, aby nie wcielać do żadnego z dwóch formujących się pułków piechoty, ale na pierwszy wystawić ogień. Zostawiłem jednak przy nich pół kompanii strzelców pieszych z 4-go regimentu, którą jen. Giełgud w wigilię mi przysłał w miejsce instruktorów piechoty, wziętych do nowych formacyi. Za folwarkiem stanął szwadron powstańców świeżo utworzony, a przy nim pluton z 1-go pułku ułanów, z którego postawiłem naprzód placówkę i czaty przed mostem, ażeby powstańcy, zapatrując się na nich, nauczyli się stawiać placówki i czaty. W lasku na lewo za mostem stanęła także placówka i wystawiła czaty przed sobą z strzelców z 4-go pułku i powstańców złożone tak, żeby zawsze przy żołnierzu z 4-go pułku stał jeden powstaniec dla wprawy.

Powróciłem do obozu w Rykontach. Stamtąd wysłałem pluton na patrol do Trok, który nad ranem powrócił. Oficer dowodzący nim zaraportował mi, że w wigilię przemaszerował przez Troki, idąc od Merecza, jen. Kuruta z dwoma pułkami gwardyi piechoty, trzema jazdy, dwoma bateryami i stu Kozaków czerwonych gwardyi. Za nimi w 12 godzin po ich przemarszu wszedł do Trok Zaliwski z tysiącem około zebranych różnych strzelców wolnych, do których także przyłączyło się kilkaset powstańców. Miał oprócz tego Zaliwski 200 ludzi jazdy dobrze ufor-

mowanej i polecił mi powiedzieć, że w Trokach będzie oczekiwał moich rozkazów, że mi będzie posłusznym, ale że dotychczas unikał połączenia się z jen. Giełgudem, ponieważ uważa, że w jego dywizyi wielki panuje nieład i z tego powodu, mając tylko jednę skórzaną armatkę, maszerował bokiem manowcami, nie komunikując się z Giełgudem. Wysłałem do niego oficera z dwoma ułanami z poleceniem, ażeby stał w Trokach i z uwiadomieniem, że ponieważ nazajutrz spodziewam się Giełguda, poślę mu oznajmić, kiedy i jak pomaszerujemy na Wilno.

Z przedniej straży nad Waką przysłał mi oficer tam dowodzący wiadomość, że widać jak Rosyanie sypią szańce na pagórkach Ponar, w miejscu, gdzie się droga kowieńska łączy z trocką i gdzie stoi kaplica. Pospieszyłem z adjutantem Wielopolskim do Waki, ażeby się o tem przekonać. Zastałem tam Tatara ze wsi Sorok-Waka, co znaczy czterdzieściowa-Waka dlatego, że tam jest czterdzieści chałup, osiadłych przez tyleż rodzin tatarskich z dawnych czasów. Tatar ten, który dobrze po polsku mówił zaręczał, że oni są Polacy i że z niecierpliwością na nas czekają, a że u nich stoi tylko kilka set piechoty i stu Kozaków czerwonych. Nie mógłem się tak daleko rozkładać. Pojechałem sam jednak z tym Tatarem, z Wielopolskim i ordonansem ku tej Wace. Zaprowadził nas Tatar na pagórek w lasku, który był wyższy nad najwyższe drzewa, skąd dobrze było widać Wilno odległe o półtorej mili, a jeszcze wyraźniej obóz rosyjski na Ponarach i pracujących około okopów przy kaplicy. W dolinie ujrzeliśmy wieś Sorok-Wakę, a w niej i w obozie za wsią kręcących się żołnierzy. Kozacy na czatach wkrótce spostrzegli mnie patrzącego przez perspektywę. Zrobił się rozruch w ich obozie i czas był wielki usunąć się, bo powróciwszy nad Wakę do przedniej straży, widzieliśmy, jak się ten sam pagórek okrył kilkunastu Kozakami. Przekonałem się więc dostatecznie, że w istocie na Ponarach sypią okopy, a za-

tem, że na tej pozycyi Wilno bronić zamyślają. Powróciwszy do Rykont, wysłałem do jen. Giełguda Mielżyńskiego, polecając ostatniemu, aby jak najusilniej nalegał na konieczność przymaszerowania i atakowania, które codzień trudniejszem się staje, bo oprócz okopów, które z każdym dniem mocniejszymi czyniono, miała za kilka dni, jak to dokładnie wiedziałem, przybyć jedna dywizya Tołstoja. Gdyby był przed tygodniem Giełgud zamiast iść do Giełgudyszek i Kiejdan, przeszedł Niemen w prawo gdziekolwiek i maszerował wprost na Wilno, bylibyśmy weszli tam bez najmniejszego oporu, ponieważ Chrapowicki miał tam tylko 3000 piechoty, z którą byłby się zapewne cofnął albo na północ do korpusu Tołstoja, albo ku Dnieprowi, skąd maszerowała z Moskwy dywizya Savoiniego i mogła być wtedy w okolicy Smoleńska dopiero. Jak już powiedziałem, bylibyśmy zabrali w Wilnie znaczne magazyny broni, amunicyi, dział ciężkich 60, od których konie wyzdychały w kampanii, więc te działa do Wilna odprowadzono. Może byłby Chrapowicki chciał zniszczyć amunicyę, już też za zbliżaniem się naszem kazał był wywieść karabiny z arsenału dla wrzucenia ich w Wilię, ale usposobienie mieszkańców było takie, iż pewnie to zniszczenie nie byłoby mu się udało.

Najważniejszy jednak powód dla nas do spiesznego wzięcia Wilna był ten, aby opanować środkowe położenie pomiędzy wszystkimi oddziałami nieprzyjacielskimi, dążącymi oczywiście do tego miasta.

Nie utrzymuję, że zwycięstwo nad nimi było niewątpliwe, ale możebne; ponieważ wszystkie oddziały powstańcze, zebrawszy i uformowawszy naszymi starymi oficerami w regimenta, mogliśmy uderzyć w 20.000 na najbliższy nieprzyjacielski korpus, a żaden tej liczby nie wynosił. Miasto samo, rozdawszy mieszkańcom broń, byłoby się broniło kilka dni z pomocą małej ilości regularnego wojska kilkutysięcznemu korpusowi, jakim był Sackena, który

pod Rajgrodem tyle stracił, lub Kuruty, który miał więcej jazdy, jak piechoty.

Codzień, a nawet kilka razy na dzień przybywali do nas z Wilna różni ludzie. Wiedziałem więc o wszystkiem, co się w mieście dzieje i także, jakich posiłków i w którym czasie Chrapowicki się spodziewał. Obywatele niektórzy dobrze się z nim znali, jemu się może zdawali być przychylni, a niemniej przeto donosili nam wszystko i przygotowywali w mieście kilkaset ludzi do przeszkodzenia wychodzącemu nieprzyjacielowi, jeśliby chciał broń zniszczyć.

Codzień też wysyłałem zebrane wiadomości Giełgudowi, który na nieszczęście stał u znajomych swoich, dokąd zjeżdżało się coraz więcej obywateli ze stron, gdzie Rosyan nie było, i ci mu wystawiali zapewne, że ich nigdzie niema, że dość jeszcze ma czasu i że niezawodnie całą Litwę opanuje. Imieniny jego odprawiano hucznie w Janowie i tak zeszedł drugi tydzień.

Nie tylko Sacken i Kuruta, ale i jedna dywizya Tołstoja z Dynaburga weszła do Wilna. Miał teraz nieprzyjaciel 15.000 razem, dział daleko więcej jak my i okopaną pozycyę.

Wysyłałem, jakom już nadmienił, codzień do Giełguda z raportami i wiadomościami o nieprzyjacielu w nadziei, że to marsz jego do nas przyspieszy. Wysyłałem różnych oficerów jednego po drugim. Jednego dnia wyprawiłem Marcinkowskiego. Ten powróciwszy do Rykont, gdzieśmy stali obozem, powiedział mi między innemi, że w korpusie Giełguda wszyscy szemrzą na jego nieczynność i trwonienie czasu, że go chcą zrzucić z dowództwa, a niektórzy mnie obwołać naczelnie dowodzącym i że wybiera się w tym celu deputacya oficerów do mnie.

Przerażony takim przykładem niesubordynacyi, która zawsze nieszczęśliwe następstwa miała i mieć musi, jak dowodzi historya wszystkich podobnych wojskowych buntów, bo inaczej tego nazwać nie można, gdy podwładni

zrzucają jednego a mianują sobie sami innego dowódzcę, odpowiedziałem Marcinkowskiemu, że jeśliby oficerowie ważyli się przyjść do mnie z podobną propozycyą, oddam ich niezawodnie pod sąd wojenny.

Nigdy ani na chwilę nie przyszło mi na myśl odbierać komendę starszemu memu. Było to tak sprzeczne z mojemi wyobrażeniami, że czy wówczas, czy następnie ani razu możność podobnego kroku nie przeszła mi przez głowę. Po wojnie jednak rozważając wszelkie okoliczności i dowiedziawszy się dopiero wtedy, że Giełgud nie był przeznaczonym pierwiastkowo na Litwę, ale że dopiero, gdy odciętym został od Ostrołęki, rozkaz maszerowania na Litwę mu posłano wraz z nominacyą na jenerała dywizyi, a przekonawszy się nadto o jego zupełnej niezdolności, uczułem obowiązek zrobić sobie zapytanie, czym źle postąpił, żem mu nie odebrał dowództwa, a sam na czele wojska nie stanął? Przedtem go wcale nie znałem, ani Dembińskiego. Widziałem ich po raz pierwszy w Kiejdanach. Nie widziałem także nieładu, który w wojsku Giełguda panował. Zniewolony byłem uczynić sobie to zapytanie, zwłaszcza, gdy po wojnie wielu moich przyjaciół pytało mnie, czemu nie wziąłem naczelnictwa? Ale i teraz po 6-ciu latach, kiedy piszę, długo, sumiennie i spokojnie rzecz rozważając, nie zachwiałem się ani na chwilę w przekonaniu, iż nie godziło mi się inaczej sprawić, jak się sprawiłem. Usunąwszy nawet wzgląd godziwości, objęcie przezemnie komendy nie było możebnem. Korpusy były rozdzielone. Szymanowski już był w Szawlach, Dembiński w Wiłkomirzu, nadto Giełgud zostawił był garnizon w Kownie. Zmiana w dowództwie nie mogła się dokonać, tylko w razie, gdyby wojsko całe stało w jednym obozie tak, iżby zrzucenie jednego, a wykrzyknięcie drugiego w jednej i tej samej chwili nastąpiło. Jedyny to sposób, aby uniknąć niechybnego inaczej zamieszania i rozprzężenia. Ale gdy korpusy stały o kilkanaście mil od siebie, gdy nimi dowodzili oficerowie z służby regularnej, rangą ode-

mnie starsi [1]), którzy na taki czyn niesubordynacyi słusznieby się oburzyli, wykonanie było niepodobnem, stałoby się powodem większego jeszcze nieładu, a w dodatku zostawiłoby smutny przykład i pamiątkę w wojskowej historyi naszej.

Dnia 17-go czerwca napadli Rosyanie na moją przednią straż nad Waką od Sorok-Waki. Piechota ich cicho zbliżyła się przez lasek, ale gdy ją spostrzegły czaty, posterunek nad rzeczką Waką zdołał cofnąć się na czas, jako miał rozkaz, do Malowanki, skąd zaraz ruszył szwadron 1-go ułanów i kompania strzelców pieszych, a tak żwawo, że odcięli oddział Kozaków i most na Wace, który piechota rosyjska zaczęła rozbierać, ocalili. Odcięci Kozacy porzucili pistolety i jańczarki na brzeg rzeki i puścili się wpław przez Wilię. Ułani oddali mi tę broń, ale jej użyć nie mogłem, gdyż wszyscy powstańcy dość już broni mieli.

Równocześnie z napadem na Wakę, Kozacy gwardyi zamierzali natrzeć na Malowankę, ale została tam placówka i czaty w lasku i skoro pierwszy z nich się ukazał, ugodzony strzałem spadł z konia i już więcej nie powstał. Inni uciekli i pomimo usiłowań zostawili zabitego na miejscu. Powracając od Malowanki i nie przypuszczając, iż piechota, będąca za nimi, już od Waki się cofnęła, puścili się ścieżką koło Waki. Największa ich część na prawo w las się rzuciła, dwóch jednak uciekając za swymi, posunęło się galopem blizko naszych strzelców, którzy opanowawszy już folwark Wakę, dali do nich kilkadziesiąt strzałów. Żaden przecież, jak mi się zdało, nie trafił, bom widział w folwarku jak uciekający, zwieszając głowy na karki koniom i popędzając je nahajkami, ruszali dalej. Ile to prochu zużytego i kul wysłanych napróżno!

[1]) Roland był jenerałem brygady od początku wojny, Dembińskiego nominacya na jenerała dawniejsza o dni kilka, niż nominacya Chłapowskiego. Przyp. Wyd.

Wróciłem do Rykont. Po drodze wstąpiłem do Malowanki, gdzie pozostał był Stanisław Chłapowski z pół kompanią strzelców, która posterunki trzymała. Oglądaliśmy zabitego Kozaka, ugodzony był kulą w samo czoło, ogromny Doniec, w czerwonym spencerze, lanca czerwono malowana, leżała przy nim. Konia kupił od żołnierzy oficer. Strzelec, który tego Kozaka zabił, mówił, że skoro usłyszał szelest koni w lasku, przygotował się i z zimną krwią wycelował, oparłszy karabin na gałęzi. Przeciwnie strzelcy pod Waką dali tyle razy ognia, a bezskutecznie, bo z pośpiechem i nieprzygotowani do dwóch Kozaków, którzy blizko nich przebiegali.

Giełgud przybył nareszcie 18-go czerwca do Rykont, a za nim trzy pułki piechoty, 7-my liniowy, 2-gi i 4-ty lekki, ale te dwa ostatnie miały razem tylko 940 ludzi, tamten miał ich 1700. Prócz tego miałem regiment nowo uformowany pod dowództwem pułkownika Radziszewskiego, Litwina, który odbywał z nami wojnę 1812 roku. Ten miał 1100 ludzi. Dnia poprzedniego, wiedząc, że Giełgud przybędzie nazajutrz, posłałem był rozkaz Zaliwskiemu, ażeby z Trok, gdzie stał, przybył na nasze prawe skrzydło. Miał on 1000 ludzi pieszych, to jest około 800 zebranych w marszu na Litwie, a 200 strzelców wolnych z Królestwa. Miał przytem 200 jazdy. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni.

Giełgud, przybywszy koło 2-giej z południa, zsiadł z konia i wszedł ze mną do karczmy rykontskiej, w której miałem kwaterę.

Uważałem za obowiązek zwrócić mu uwagę na zmieniony teraz stan rzeczy: Że z siłami, które ma, już zapóźno atakować Wilno, okopami wzmocnione, bronione przez pewno 15.000 ludzi. Radziłem odstąpić i rozdzielić się na mniejsze oddziały, rozejść się po całej Litwie i partyzancką wojnę prowadzić, powstania wspierać i zatrudniać tym sposobem jak najwięcej sił rosyjskich. Giełgud uwagi moje bardzo źle przyjął.

„Z jakimże czołem — rzekł — możesz mi radzić odstąpienie od Wilna? Popularyzowałeś się w armii planem na Wilno, a dziś, kiedy przybyłem, chcesz, abym z wstydem się rejterował? Widzę, że prawdą jest, że mnie chcesz zgubić w opinii wojska i dowództwo odebrać. Jutro Wilno atakuję, a okopy pułk 7-my weźmie“.

Odpowiedziałem mu na to: „Nie obawiaj się, jenerale, żebym ci odebrał dowództwo. Daję ci słowo żołnierskie, że nigdybym go od podwładnych nie przyjął i że będziesz miał we mnie najposłuszniejszego żołnierza“. Umyślnie wtedy przywołałem świadka, podszefa sztabu Potulickiego i powtórzyłem mu to samo, aby go uspokoić. Bardzo był kontent i uściskał mnie, ale od ataku odstąpić nie chciał.

Miałem trochę nadziei, wiedząc, że komenderuje w Wilnie Kuruta, którego nieudolność znałem. Ale inaczej się stało. W dzień ataku zdał komendę Sackenowi, a ten powierzył obronę jen. Tenner, inżynierowi francuskiemu, którego cesarz Napoleon w r. 1807 dał był cesarzowi Aleksandrowi do założenia szkół wojskowych. Widząc Giełguda tak zdecydowanym, chciałem całem sercem do zwycięstwa dopomódz. Radziłem całą naszą siłę rzucić się na lewe rosyjskie skrzydło, na ich główne okopy.

Nadchodziła też piechota, na czele jej jenerał Roland i szef sztabu Hauterive, żwawy stary Francuz, który był jeszcze z Dumourierem, konfederatem barskim, do nas przysłany i od tego czasu u nas pozostał, mówił więc jak Polak i czuł również. Pułkownikowi Koss oddał Giełgud dowództwo 7-go regimentu i 26-go, który miał tamtemu służyć za rezerwę. Jenerał Roland z 2-gim i 4-tym pomaszerował. Piętka, pułkownik artyleryi, z 22 działami poszedł za nim. W rezerwie jazda: 1-szy pułk ułanów, za nim dwa szwadrony kaliskie pod pułkownikiem Słotwińskim, w tyle dwa nowo uformowane regimenty jazdy litewskiej, 6-ty strzelców i 12-ty ułanów, przy nich w ostatniej

rezerwie kompania strzelców Chłapowskiego i 5 dział konnych Czetwertyńskiego. Do tego dodać należy kilka oddziałów powstańczych, którzy z Giełgudem przyszli, a których już nie było czasu uporządkować. Razem więc było 6000 ludzi i 27 dział. Dołączając Zaliwskiego, który się później w czasie ataku na prawem naszem skrzydle pokazał, to jest 1200 ludzi, atakowaliśmy w 7200 pozycyę okopaną, bronioną przez 17.000 i 60 dział. 17.000 bowiem podaje w historyi tej wojny Schmidt, sekretarz Diebitscha, potem Paszkiewicza, z raportów które wszystkie po wojnie miał sobie udzielone do napisania tej historyi.

Jenerał Giełgud wysłał był rozkaz Dembińskiemu posunięcia się ku Niemenczynowi, ażeby dywizyą piechoty z korpusu Tołstoja, która tamtędy do Wilna maszerowała tą demonstracyą wstrzymać podczas naszego ataku i przeszkodzić jej wejściu do Wilna. Jen. Dembiński z północnej strony nie mógł się przyczynić do ataku, bo miał Wilię pomiędzy sobą a miastem. Na niej był most zwany zielonym, ale nieprzyjaciel, gdyby został z tej strony atakowanym, byłby go zapewne zebrał. Wilia brodów niema i ostro bardzo płynie. Jen. Dembiński miał po wcieleniu powstańców około 3000 ludzi, Szymanowski tyleż, a w Kownie Giełgud zostawił, nie wiedząc po co, około 2000 i przytem w różnych miejscach były oddziały powstańców formujące się pod naszymi oficerami. Można więc było atak uskutecznić z 18.000 do 20.000 ludzi, zamiast 6000 i pięć dni rychlej, gdy nie znajdowałoby się przed nami tylko 8000 do 9000 nieprzyjaciela, to jest 3000 Chrapowickiego, 3000 Sackena i około 3000 Kuruty i okopy ledwie zaczęte.

Atak rozdysponował Giełgud. Jen. Roland pierwszą prowadził kolumnę, 2gi i 4-ty pułk lekkiej piechoty. Ten zaledwie tysiąc kroków posunął się naprzód i jeszcze się nie rozwinął, kiedy linie piechoty rosyjskiej, którąśmy na pagórku przed ich pozycyą widzieli, a za niemi linię cho-

rągiewek ułańskich, dawszy do jego kolumny kilkanaście razy ognia z dział, na pozycyę Ponar się cofnęły.

Roland, podszedłszy na pagórek rozwinął oba pułki. Artylerya nasza w miarę, jak na pagórek wstępowała, formowała się i odprzodkowywała. Tu już z okopów z ciężkich dział począł nieprzyjaciel strzelać. W drugiej kolumnie podchodził Koss z 7-mym i 26-tym pułkiem. Ponieważ Roland całej lini naprzeciw okopom zająć nie mógł, kazał Giełgud 7-mu regimentowi zająć prawe skrzydło, 26-ty został w drugiej linii rozwinąwszy się także. Kule więcej do ostatniego, jak do pierwszego, donosiły. Żołnierze nowi zaczęli się uchylać i kłaść na ziemię, ale wkrótce za serdecznem Radziszewskiego przemówieniem do nich, stali spokojnie.

Od prawego na drodze do Trok pokazała się linia piechoty około 2000 kroków od nas. Giełgud, spostrzegłszy ją, wziął ją za nieprzyjacielską. Zapewniałem go, że to Zaliwski. Już poprzednio byłem mu powiedział, żem posłał rozkaz Zaliwskiemu przymaszerowania tą drogą. Jen. Giełgud odrzekł, że to nie Zaliwski, bo ten żadnego rozkazu nie słucha, ale że to jest nieprzyjacielska piechota, któraby nam tył zabrać mogła i kazał mi jechać ją zrekognoskować, a jeżeli byłby to Zaliwski, rozdysponować atak z tej strony.

Ruszyłem żywo z adjutantem Szmitkowskim i upędziwszy z tysiąc kroków, spostrzegłem, że istotnie to była piechota nieprzyjacielska, ale cofająca się i zasłonięta tyralierami, naprzeciw którym już postępowały tyraliery Zaliwskiego. Dojechałem do tych i zaraz za ich linią napotkałem Bansemera, majora, dowódzcę jazdy, któremu Zaliwski komendę powierzył, sam zostawszy w tyle. Bansemerowi dałem tedy rozkaz maszerowania prosto na kościół św. Szczepana, leżący między Ponarami a miastem. Szmitkowskiego posłałem po Zaliwskiego, który w pół godziny z nim przybył. Bansemer już się był posunął i ogień tyralierski rozpoczął. Powtórzyłem rozkaz Zaliwskiemu, który oddział

piechoty prowadził, poprzedzony armatką skórzaną, która zasługuje na wzmiankę w historyi, że śmiała 60 ciężkim działom odpowiadać i może lepiej, jak one trafiała.

Posunąłem się na brzeg pagórka, skąd o milę całe widać Wilno, a kościół św. Szczepana na przedmieściu. Tu się przekonałem, że wszystkie siły rosyjskie za kaplicą na dole, już na pochyłości ku Wilnu za okopami stały, cała zaś jazda jeszcze dalej na wysokości prawie Zakrętu, było jej pięć pułków. Pozycya okopana była bardzo dobrze wybraną, ale ustawienie piechoty za nią na pochyłości wydawało mi się niebezpieczne, bo wszystkie kule nasze do okopów wymierzone, skoro przenosiły, musiały w te kolumny niechybnie trafiać. Miałem więc trochę nadziei, zwłaszcza, że choć wiedziałem, iż jen. Tener pozycyę okopywał, widać było z błędnego postawienia szyków, że niedoświadczony wojskiem dowodzi.

Bansemerowi zostawiłem rozkaz tyralierowania, ale nie spuszczania się z góry ponarskiej ku św. Szczepanowi, aż zobaczy, że piechota jen. Giełguda odebrała okopy i spuszcza się ku Wilnu.

Powróciłem do Giełguda. Po drodze spotkałem szwadron 1-go regimentu ułanów, którego kapitan Karbowski powiedział mi, że jen. Giełgud kazał mu za mną maszerować, w przekonaniu, że ja w niebezpieczeństwie być mogę, bo mniemał, że zastanę tylko nieprzyjaciela, nie Zaliwskiego. Kazałem Karbowskiemu wrócić do regimentu, a sam cwałem do Giełguda pospieszyłem.

Przybywszy naprzeciwko kaplicy, spostrzegłem, że nasz 7-my regiment na lewo się posunął, a jeszcze dalej na lewo 2 gi i 4-ty. Wedle rozkazu 26-ty trzymał się zawsze za 7-mym. Koss stał pod kartaczowym ogniem, tracił wiele ludzi, również 26, stojący za nim. Od niegom się dowiedział, że Giełgud kazał mu szturm przypuścić na okopy, że był już o 100 kroków od nich, ale że tak gęstym ogniem dział i piechoty przywitano ich, iż musiał się cofnąć. Pytam się o Giełguda. Koss mi powiada, że

tuż jechał za nimi, ale gdy koń kartaczem raniony padł pod nim, musiał pójść po drugiego, bo nikogo nie miał przy sobie. Zszedłem z konia i na propozycyę moją, byśmy razem szczęścia popróbowali, Koss z chęcią zakomenderował naprzód marsz, poszli śmiało pod same okopy, ale tu tyle padło, że liczba już nie wystarczyła do zmierzenia się z piechotą, która na okopy wystąpiła, skorośmy się do nich zbliżyli. Dostrzegłem jednak, że okopy nie grube, ziemia świeża i jak mi się zdawało, bez faszyn usypana. Gdyśmy się cofnęli z Kossem, chciałem wszystkie działa w jednę ustawić bateryę, 20 dział możeby były okop z ziemią zrównały, ale kilka było już zdemontowanych. Z dwoma tylko stał oficer i strzelał z miejsca przyległego temu, które Koss był zajmował. Zapytałem o Piętkę. Odpowiedziano mi, że ze wszystkiemi pozostałemi działami udał się w lewo za Rolandem.

Przybył Giełgud na świeżym koniu i stanął w najmocniejszym ogniu, zganił, żeśmy drugi raz próbowali do okopów się dostać i dodał, że Roland pod protekcyą artyleryi spuszcza się i tył bierze nieprzyjacielowi, i że widział, jak Rosyanie już się rejterują. Przekonany byłem, że tak nie jest, bo Roland mimo największej odwagi, nie mógł, choćby i w tyle nieprzyjaciela stanął, zmusić tyle liczniejszego do odwrotu. Zapewniłem tylko Giełguda, że to Zaliwski przybył na nasze prawe skrzydło i jeżeli tu się nam uda przymusić nieprzyjaciela do odwrotu, to połączy się z nami na pół drogi do Wilna.

Jen. Giełgud kazał się jeszcze dalej Kossowi cofnąć, aby tyle od ognia nie cierpieli ludzie. Mężnie już stał 26-ty, nie kłaniał się kulom, lubo miał wielu co dopiero przyjętych do szeregu żołnierzy. Mnie jenerał kazał pozostać z Kossem i opanować okopy, skoro Roland spłoszy piechotę rosyjską, a w przypadku, gdyby Zaliwski nie postępował dość prędko (tu znowu jenerał dodał: „bo on mnie nigdy nie słuchał!“) polecił mi do niego dojechać i przyspieszyć jego marsz na Wilno.

Zdaje się, że Giełgud mnie z umysłu chciał w odległości od siebie trzymać, ażeby nie powiedziano, że ja mu rady dawałem, a ponieważ się jeszcze zwycięstwa spodziewał, chodziło mu o to, aby na niego cała chwała spadła. Był to uczciwy i dobry Polak, mężny żołnierz w ogniu, ale równie ograniczony, jak próżny.

Ponieważ cofnęliśmy się i już krzakami od ognia trochę zasłonięci byliśmy, a Rosyanie może zajęci spuszczaniem się piechoty Rolanda mniej na nas strzelali, pojechałem w lewo o kilkaset kroków, ażeby zobaczyć, jaki skutek weźmie posunięcie się Rolanda. Com wiedział, znając położenie jeszcze z r. 1812-go i z karty, o tem się tu naocznie przekonałem, że chociażby Rosyanie nie byli nawet ruszyli się przeciw naszym ze swego stanowiska, to piechota Rolanda z miejsca, z którego się na dół spuściła, nie mogła wywrzeć żadnego skutku na korpus rosyjski, stojący o kilkaset kroków za pozycyą, gdyż Wilia tak się zakręca w prawo w tem miejscu, że gdyby Roland zeszedł był nawet z obydwoma regimentami na dół, to byłby znalazł przed sobą lasek, a za nim zaraz Wilię i postąpićby dalej nie mógł.

Ale nieprzyjaciel nie czekał aż Roland ze wszystkiem spuści się na dół. Skoro spostrzegł naszych tyralierów na dole i wchodzących już do lasku, prawie na tyłach mu leżącego, wysłał z pozycyi swojej kilka tysięcy piechoty, które zobaczywszy Roland, dał rozkaz zatrąbienia na odwrót. Tyraliery nasze powracały z lasku, kiedy rosyjscy o tak wiele liczniejsi dali do nich ognia, a wnet potem zastępować im drogę poczęli.

Teraz Giełgud się przekonał, że Wilna nie weźmie. Przybył do mnie wkrótce i rzekł: Dałem rozkaz do odwrotu piechocie i artyleryi, — jenerał z 1-szym regimentem ułanów i bateryą Czetwertyńskiego zasłonisz cofanie.

Dla zasłonięcia odwrotu obrałem sobie stanowisko na półku pomiędzy laskami. Przedemną było otwarte pole około 600 kroków; na prawo i na lewo drzewa i krzaki

tak gęste, że mogłem mieć nadzieję, iż mię z boków jazda nieprzyjacielska tyle od mojej liczniejsza nie oskrzydli. Półko nie było też rozleglejsze, jak na cztery szwadrony w linii. Na to pole musiała koniecznie jazda nieprzyjacielska wyjść z poza okopu i tu się formować do ściągania naszej cofającej się piechoty.

Mieli Rosyanie, prócz Kozaków i Kabardyńców, tutaj pięć pułków jazdy, dwa liniowe ułanów, jeden gwardyi, jeden huzarów i jeden kirysyerów.

Odwrót artyleryi z różnych stanowisk zaraz się rozpoczął. Za nią piechota w dość dobrym porządku i wolno się cofała i przechodziła większą częścią obok mnie. Nawet ostatni ranni, których żołnierze podpierali, już mnie mijali, a jeszcze nieprzyjaciel okopów nie opuszczał, tylko kule za naszą piechotą wysyłał, a tu i owdzie zaledwie kilkudziesiąt Kozaków po krzakach się kręciło.

Wyszło jeszcze z pół godziny, nim ułani, jeden szwadron po drugim, wychodzić i formować się naprzeciw mnie zaczęli. Stałem spokojnie w kolumnie szwadronowej, pierwszy posunięty o 300 kroków przed drugimi tak, że się znajdował zupełnie na środku pola. Skoro pierwsze dwa szwadrony rosyjskie się pokazały i formować zaczęły, kazałem Hemplowi, który pierwszy szwadron prowadził, uderzyć na nie. Hempel tak dobrze to wykonał, że te dwa szwadrony formujące się rozbił. Nowe dwa z obu stron na boki Hempla ruszyły, ale też i moje 2-gi i 3-ci już były po jego bokach i tamte powstrzymały.

Tymczasem drugi pułk rosyjski ułanów sformował się z tyłu i przypuścił szarżę na moje trzy szwadrony, ale z tak daleka, że widząc jak się rozlatują, dopiero wtedy zakomenderowałem marsz, gdy niektórzy byli o sto kroków odemnie.

Dopiero trzeci pułk ich oremburski, uformowawszy się, przypuścił dobrą szarżę i z blizka. Nie czekałem na nich, ale skoro się zbliżali, zakomenderowałem ze stępa: marsz, marsz. Oremburczyki dotrzymali. Pomieszaliśmy się,

jak groch z kapustą. Na polu piaszczystem przy suszy wzniosła się kurzawa tak, że trudno było się poznać o trzy kroki, tembardziej, że oremburski pułk siedział także na gniadych koniach i miał czerwone wyłogi, tylko ich rajtuzy były bure, a nasze szaraczkowe.

Przed tą szarżą spostrzegłem, że na mojej prawej stronie pomiędzy krzakami snują się Kozacy. Nie chcąc ich mieć za sobą, gdy na przodzie było dosyć do czynienia, posłałem rozkaz, żeby z kompanii strzelców czterdziestu zsiadło z koni i na brzegu lasku się zasadziło. Ci tęgo przyjęli Kozaków: pomiędzy innymi padł Kabardyniec, którego broń i czapkę potem mi przyniesiono.

Mieszanina z Oremburczykami trwała około pół godziny, harc lanca na lancę, strzały z pistoletów zaledwie słychać było w hałasie. Nareszcie zręczność naszych, lepsze, krótsze i dobrze okute nasze lance górę wzięły. Spadło tyle Oremburczyków, że nareszcie drudzy w nogi. Podczas zmieszania się ich z nami, Rosyanie rozwinęli za nimi bateryę; uciekające ułany na nią wpadły, a nasi tuż za nimi i poczęli kłuć kanonierów. Za bateryą stała rosyjska piechota, wyprowadzona z okopów i dała ognia do uciekających swoich ułanów i do naszych, którzy byli między nimi. Zabito tu nam 18 tu i kilkudziesięciu raniono. Zginął tu młody Stanisław Grabowski, który był wstąpił jako prosty żołnierz do pułku.

Dopiero z pomiędzy dział nieprzyjacielskich nasi ułani cofać się zaczęli, uprowadzając i zasłaniając rannych. Już dawno byłem kazał trąbić na zebranie, ale wyszło z 10 minut zanim ułani się zgromadzili, — jak zwykle zanadto się zapędzili daleko.

Zebrawszy wszystko i 43 rannych odesławszy, cofnąłem się na moje pierwiastkowe stanowisko, z którego trzy razy bój nam się poszczęścił, czekając, czy nieprzyjaciele jeszcze raz popróbują, ale wkrótce spostrzegłem, że działa ich i piechota za okopy wraca. Ułana ani jednego, ale tylko kilku patrzących na nas Kozaków widać było.

Teraz dwa szwadrony Kaliszanów, które mi także Giełgud zostawił, postawiłem na przodzie, a 1-mu regimentowi zsiąść z koni kazałem. Brygada nowa Litwinów pomaszerowała była z Giełgudem. Po upływie kilku godzin cofnąłem się około 8-mej wieczorem za Wakę, rozstawiwszy czaty, do północy konie paść kazałem. O północy bowiem odebrałem rozkaz maszerowania do Jewia, głównej kwatery Giełguda, na drodze kowieńskiej.

Zostawiając tedy podpułkownika Niezabitowskiego, najdoświadczeńszego oficera z 1-go ułanów i kompanię strzelców Chłapowskiego i dawszy im rozkaz, aby w godzinę po mnie wymaszerowali, puściłem się o północy w marsz z 1-szym ułanów, Kaliszanami i bateryą Czetwertyńskiego na Jewie. Noc była piękna, cisza największa panowała, wszyscy smutni, bo nie obliczając sił naszych i nieprzyjacielskich, spodziewali się, że w Wilnie nocować będą. Miałem czas myśleć nad tem, co dalej nam czynić wypadało. Wysławszy naprzód adjutanta do Giełguda po rozkazy, gdym przybył do Jewia, zastałem jenerała na drodze czekającego na nas. Była 3-cia godzina. Jeszcze nie dniało. Zapytał mię: Jakie jenerała jest zdanie? Co nam czynić należy? Odpowiedziałem: Myślałem o tem podczas marszu, zdanie moje jest takie: maszerować do Kowna i zebrać wszystkie oddziały w Aleksocie, jest to położenie bardzo dobre, można spędzić z okolicy chłopów z łopatami, okopać się, ściągnąć żywność i furaż na dni 15-cie z Augustowskiego i ze Żmudzi. Najmniej tydzień, a może i dwa upłyną, nim nieprzyjaciele atakować nas zdołają, — w obozie uporządkujemy wszystkie oddziały, podzielimy się na sześć oddziałów, które jenerał będzie mógł oddać pod dowództwo Dembińskiego, Szymanowskiego, Rolanda, Kossa, Hauterive'a (ten się nazajutrz utopił w Czabiszkach) i moje. Mostów kilka postawimy na Niemnie i Wilii koło Kowna; nieprzyjaciel nie będzie mógł opanować Kowna, dopóki stać będziemy w Aleksocie, bo ta pozycya nad miastem panuje. Dowiedziawszy się, że się okopujemy, przejdzie on

zapewne Niemen w bok Kowna, najpodobniej z Rumszyszek, w okolicy Prenny, — będziemy mogli bronić mu przejścia, ale tylko o tyle, o ile mu strat przynieść zdołamy. Skoro on przechodzić już będzie, tejże samej nocy wszystkie sześć oddziałów przemkną się przez Niemen na mostach przygotowanych i pomaszerują każdy w swoją stronę, dwa na Żmudź, dwa na północ Wilna, Koss i ja w tym samym kierunku, ale jeden dalej ku Witebskowi, a drugi w Mińskie województwo. Rosyanie wejdą do obozu Aleksoty, zastaną go próżnym i kilka dni namyślać się będą co czynić, a my tymczasem rozlejemy się po wszystkich częściach Żmudzi i Litwy, bo jak przed dwoma tygodniami, kiedy nieprzyjaciel był podzielony, należało nam skupionemi siłami bić pojedyńcze jego oddziały, tak teraz, gdy Rosyanie skupieni, należy nam rozejść się na wszystkie strony, pomnażać nasze siły powstańcami, wcielać ich do regimentów i wprawiać przy naszych starych do służby i ognia. Dodałem, że jest to jedyny sposób uniknięcia zupełnej klęski, która spotkać nas musi, jeżeli razem pozwolimy się zamknąć, posuwając się na Żmudź i ku Połądze.

Taką uwagą zakończyłem moje zdanie, wiadomo bowiem i Giełgudowi było, że wszędzie i na Białej Rusi powstańcy się zbierają i gotowi są łączyć się z nami, skoro nas ujrzą. Litwa, zarówno kraj jak mieszkańcy, do takiej wojny nam najprzydatniejsza. Kraj poprzecinany lasami, pagórkami, jeziorami, rzeczkami, wielce taką wojnę ułatwia temu, który tam w domu. Litwin najzręczniejszy do wywiadywania się o nieprzyjaciela, do przedzierania się przez jego oddziały tam, gdzie dojść pragnie i do zwodzenia go.

Plan mój zdawał się podobać Giełgudowi. Kazał mi popaść konie i powiedział, że się namyśli, a za godzinę wyda rozkazy. Położyłem się więc na trawie i zasnąłem, pierwszy raz mocno, bom już tutaj nie miał dowództwa.

Obudził mnie Giełgud i rzekł, że skoro udzielił mego

planu Litwinom (miał ich pełno koło siebie), bardzo się wystraszyli, twierdząc, że cała Litwa, gdy się dowie, że Niemen przechodzimy, będzie myślała, że ich na zawsze opuszczamy i duch wszędzie upadnie. Postanowiłem (dodał) maszerować i przejść znów Wilię pod Czabiszkami, by połączyć się z oddziałem na Żmudzi. Jenerał pójdziesz na Kowno po moim wymarszu i tam odbierzesz odemnie dalsze instrukcye.

Niebawem też ruszyły z Jewia w prawo piechota, artylerya i nowa brygada. Ja wieczorem wyszedłem do Zyzmor. W Zyzmorach zastaliśmy nowe oddziały powstańców, które dość regularnie przed miasteczkiem czaty porozstawiały tak, żem mniemał, iż nie potrzebuję już moich stawiać, osobliwie mając szwadron w odwodzie o pół mili za sobą. Lecz wpół godziny po naszem wejściu do Zyzmor, gdzie za miastem na drodze do Kowna kazałem ułanom rozkulbaczyć i przechędożyć konie, powstał alarm, powstańcy ze wszech stron zbiegać się poczęli, krzycząc, że Rosyanie! Postawiłem był kompanię strzelców za pierwszymi domami od Wilna, do tej się udałem, porozstawiałem ją poza domy, ale sam przed miasto wyjechawszy, wkrótce przekonałem się, że czaty powstańców, którzy jeszcze nie widzieli naszych ułanów, szwadron tych za Rosyan wzięli. Kazałem więc zaraz porozstawiać przy powstańcach naszą placówkę i czaty. Noc przepędziliśmy bardzo spokojnie.

Nazajutrz poszliśmy do Rumszyszek i nareszcie do Kowna, gdzie zastałem i 25-ty regiment pod Macewiczem, zupełnie umundurowany i w porządku i mnóstwo powstańców, których trudno było obliczyć, bo tylko Prozor miał swój oddział niejako uorganizowany. Zaliwski zaraz nazajutrz po cofnięciu się z pod Wilna przysłał do mnie oficera z długim listem, proponując mi odłączenie się od Giełguda, a w takim razie złączy się ze mną i będzie mi zupełnie posłusznym, utrzymując, że wojnę partyzancką będziem mogli prowadzić ze skutkiem i dodając, że jeśli-

bym ja pozostał z Giełgudem, to on pomaszeruje, gdzie mu się zdawać będzie najstosowniej.

W Kownie nazajutrz, 22-go, nad wieczorem odebrałem od Giełguda rozkaz pomaszerowania do Kiejdan, gdzie miał mi dać instrukcyę, którą odebrał z Warszawy, żeby koniecznie zająć Połągę, dlatego, że tam miały przybyć okręty z Francyi z bronią, amunicyą i ochotnikami francuskimi [1]). Donosił przytem, że mnie przeznacza na dowódzcę tej wyprawy i że część piechoty doda mi do mojej kolumny, a że obronę linii od Kowna nad Wilią i Świętą rzeką aż do Wiłkomierza poruczył Dembińskiemu. Dlatego więc regiment piechoty Macewicza ma pozostać w Kownie z oddziałem strzelców i jazdy nowej pod dowództwem pułkownika Kiekiernickiego, który od Dembińskiego rozkazy będzie odbierał. Uderzyło mnie zaraz niepodobieństwo bronienia rzeki nietrudnej do przejścia na tak obszernej przestrzeni. Dembiński tego nie mógł dokazać. Nie wiem, czy jakie przedstawienia w tym względzie robił Giełgudowi, ale sam pewnie doskonale zrozumiał niemożność tej obrony.

Wymaszerowałem z Kowna do Kiejdan i tam już zastałem Giełguda. Skorom na kwaterę przybył, jen. Roland i pułkownik Piętka przyszli do mnie z propozycyą, ażebym się podjął być szefem sztabu Giełguda. Od nich się dowiedziałem, że pułkownik Hauterive utonął, kąpiąc się w Wilii pod Czabiszkami. Przekładali mi zarazem, że jeśli się podejmę szefostwa sztabu, Giełgud będzie tylko nominalnym dowódzcą, a ja będę mógł wszystkiem według mego zdania kierować. Zrobiłem im uwagę, że do-

---

[1]) Instrukcyę wzięcia Połągi przysłano z Warszawy Już opóźnienie się pod Wilno tłómaczył Giełgud tem, że się ze Żmudzi nie chciał oddalać. Jakim sposobem mógł Prądzyński dać tę instrukcyę, nie pojmuję. Powinien był wiedzieć, że brzegi morza koło Połągi są tak daleko piaskiem zasypane, że to jest od Memla do Rygi najgorszy punkt do wylądowania. (Przyp. autora).

wodzić wojskiem nie można, tylko mając rzeczywiście dowództwo i że każdy inny układ nie może być zbawiennym. że na szefa sztabu nie czuję się zdatnym, lecz że posłusznym będę i jeżeli Giełgud da mi rozkaz na piśmie, abym objął przy nim szefostwo sztabu, to usłucham, ażeby dać przykład posłuszeństwa. Odebrałem też rozkaz ten niebawem i zaraz porozsyłałem polecenia do wszystkich dowódzców powstańców, wymagając dokładnych raportów. Chciałem bowiem uorganizować ich choć naprędce, wybierając do tego oficerów z starych pułków. Z tej przyczyny zapytałem dowódzców tych pułków, aby mi wykazali oficerów zdolnych ku temu. W Kiejdanach zastaliśmy nowy regiment piechoty pod dowództwem Brochockiego, starego oficera, dość dobrze uorganizowany.

Giełgud mówił mi, że na Połągę wyśle Szymanowskiego, skoro przybędziemy do Rosien, gdzie on stoi. Dał też rozkaz marszu do Rosien, dokąd dwoma traktami przyszliśmy dnia drugiego i zastaliśmy miasto napełnione różnymi oddziałami powstańców, których także chciałem zaraz wcielić do starych pułków, ale dowódzcy udali się do Giełguda, a ten mi powiedział, aby te oddziały zostawić, jak są, gdyż one są uporządkowane po swemu i złożone z samych Żmudzinów, bardzo bitnych, którzy będą nam bardzo użytecznymi choć bez ściślejszej organizacyi.

Nie było też czasu do porządkowania, ponieważ tego samego dnia, cośmy do Rosien przybyli, przyszedł raport, że Rosyanie Kowno wzięli, że Kiekiernicki dostał się do niewoli, a pułk 25-ty wielu ludzi stracił. Na wiadomość o zajęciu Kowna i o tem, że Rosyanie tylko jedną kolumną na to miasto przymaszerowali, a drugą na Wiłkomierz, Giełgud postanowił zebrać wszystkie siły i uderzyć na tę, która Kowno wzięła. Wysłał więc rozkaz Dembińskiemu 29-go czerwca, aby z Wiłkomierza przybył do Szat o dwie mile od Kiejdan, dając mu znać, iż sam całą siłą do Kiejdan maszeruje, ażeby Kowno odebrać, do utrzymania któ-

rego w naszem posiadaniu przywiązywał jak największą wagę. Wymaszerowaliśmy natychmiast.

Tym razem Giełgud trafił na pewnik wojenny[1]): skupić siły i uderzyć na część nieprzyjaciela, kiedy ten rozdwojony. Nie udało się to jednak; naprzód, że pozostawił około trzech tysięcy na drodze do Szawel w nieszczęśliwym zamiarze wyprawy na Połągę, a powtóre, że oficer Szmitkowski, który do Dembińskiego z rozkazem do Wiłkomierza jeździł, powrócił z odpowiedzią od niego 3-go lipca, że do Szat przymaszerować nie może, ponieważ party przez siły rosyjskie, cofa się na północ.

Dla odwrócenia uwagi nieprzyjaciela i przeciągnienia sił jego w inną stronę, posłano podpułkownika Wiśniewskiego z saperami i lekkim oddziałem na prawo z rozkazem budowania mostu na Niemnie. Ale ten zatrzymał się dwa dni w Gajłowie i nie wykonał rozkazu.

Wogóle Giełguda rozkazów nie słuchano, a kiedy jako szef sztabu wydawałem w jego imieniu rozkazy — oficerowie udawali się do niego z przedstawieniami, a on pozwalał zmieniać. Tak rósł nieład i zamieszanie i niepodobnem było dla mnie utrzymać karność i jakikolwiek porządek.

Gdy Dembiński nie przyszedł, Giełgud nie miał dosyć sił, ażeby uderzyć na kolumnę z Kowna postępującą ku Kiejdanom i musiał się cofnąć. Wysłał był Kossa, pułkownika kwatermistrzowstwa, do zwiedzenia i wyszukania pozycyi obronnej, w której postanowił jedną częścią swojego wojska czekać na Rosyan, a drugą wziąć Połągę. Koss wybrał pozycyę pod Plemborgiem nad nowym kanałem.

Wymaszerowaliśmy do Chlewisk wieczorem, gdzie nas już przededniem atakowali Rosyanie, rozwinąwszy ułanów i bateryę konną. Pułkownik Borkowski trzymał aryer-

---

[1]) Wiadomo, że plan ten podał jenerał Chłapowski.
Przyp. Wyd.

gardę z 1-szym pułkiem ułanów, półbateryą Czetwertyńskiego i kompanią strzelców Chłapowskiego. To był mój oddział tak, jak wymaszerował od wielkiej armii, mniejszy tymi oficerami i podoficerami, których byłem wziął do formacyi nowych pułków, ale co do liczby miał tyleż ludzi, co i z początku, ponieważ i do ułanów i do strzelców wstąpiło wielu Litwinów. Ci ochotnicy umundurowali się zupełnie i wszędzie bardzo się dobrze popisywali. Cofnął się Borkowski w największym porządku na Ejragołę do Plemborga, nie straciwszy nic, mimo natarczywej pogoni.

Pozycya pod Plemborgiem była wprawdzie dobrą przed frontem, lewe skrzydło nasze dobrze zakryte, ale prawe opierało się o lasy, którymi nieprzyjaciel, mając większe daleko od nas siły, mógł obejść całą pozycyę. Niepotrzebnie on też kilka godzin nasze stanowisko z frontu atakował i stracił dość ludzi, między którymi znajdowało się wielu kanonierów, ponieważ od razu wysunął kilka bateryi i mocną rozpoczął kanonadę. Porucznik naszej artyleryi, Adamczewski, dziwnie dobrze celował, stojąc sam naprzeciw 24 dział z dwoma tylko działami, ale pozycyjnemi. Widziałem, jak zdemontował kilka dział i dlatego się cała jedna baterya rejterowała. Była to baterya konna gwardyjska, perspektywą rozeznałem na kołnierzach galony gwardyjskie.

Skoro Borkowski cofnął się był z tylną strażą, przeszedł kanał i pomaszerował za naszą pozycyą dla napaszenia koni, ponieważ część nocy i połowę dnia wciąż się ucierał z nieprzyjacielem. Zresztą jazdy już tu użyć nie było można, same wąwozy. Koss (jak już powiedziałem) doskonałą obrał pozycyę, tylko niepewną na naszem prawem skrzydle i dlatego posyłając Borkowskiego za naszą linię, kazałem mu w prawo lasu wysłać patrole strzelców pieszych, ale na koniach i jeszcze bardziej w prawo za las pluton jeden ułanów.

Oficer dowodzący tym patrolem około 2-giej godziny

wymaszerował i po upływie godziny już przysłał podoficera z doniesieniem, iż mocna kolumna piechoty lasem nas oskrzydla. Giełgud natychmiast dał znak do rejterady na Rosienie. Borkowski znów wziął aryergardę, napasłszy konie i rejterował się za piechotą, która wolno postępowała.

Nad wieczorem nieprzyjaciel tak mocno natarł, że Borkowski był zmuszony cofnąć się za piechotę. Giełgud na wzgórzu rozwinął piechotę i artyleryę tak, że Rosyanie stanęli i również zaczęli rozwijać piechotę na brzegu lasu, a kilka pułków ułanów i huzarów w prawo na płaszczyźnie. Przed tem wszystkiem rozsypała się chmura Kozaków. Oddział powstańców żmudzkich, których jeszcze nie byłem widział, tutaj się zjawił, miał około 200 koni, Giełguda prosił, by mu pozwolono na Kozaków uderzyć, i to tak skutecznie wykonał, że Kozaki za jazdę regularną uciekły. Widząc, że Żmudzini za daleko się zapędzają, wysłałem za nimi, otrzymawszy pozwolenie Giełguda, szwadron ułanów. Skoro Żmudzini zobaczyli, że za nimi idą ułani, nabrali jeszcze więcej odwagi i goniąc Kozaków, wpadli na huzarów, którzy się zmieszali i dopiero powstańczy ten oddział zrejterował, gdy na niego dowódzca rosyjski kilka szwadronów ułańskich wysłał. Cofnęli się Żmudzini wolno, nie straciwszy pewnie nikogo. Był to oddział Grużewskiego, i z tej potyczki wnosić można, jaki żołnierz byłby z tego ludu, gdyby go byli zaraz starzy nasi oficerowie uorganizowali.

Staliśmy na pozycyi do nocy, a nocą pomaszerowaliśmy przez Rosienie do Szydłowa.

Gdyśmy przechodzili przez Bielewicze, zsiadłem z konia, ponieważ powiedziano mi, że tu leżą nasi ranni. Poszedłem ich odwiedzić, zastałem cały dwór i oficyny zapełnione rannymi.

Przeszliśmy Rosienie w nocy i popasłszy konie, pomaszerowaliśmy na Szydłów, gdzieśmy zostawili jako tylną straż 1-szy ułanów, strzelców Chłapowskiego i pół bate-

ryi, a Giełgud z całą piechotą, artyleryą i nową jazdą ruszył do Cytowian, gdzie stał Szymanowski, który tam się był cofnął z Szawel, gdy to miasto Rosyanie opanowali.

W Cytowianach 6-go zastaliśmy także wiele oddziałów powstańczych, każdy po kilkaset ludzi, miało ich być do trzech tysięcy. Nie próbowałem już ich organizować, bom wiedział, że Giełgud tego nie dopuści, bo go naczelnicy tych oddziałów otaczali, a zdawało się im niedoświadczonym, że im tak, jak są, pójdzie dobrze, tem bardziej, że najmocniej i słusznie swemu męstwu ufali.

Zaledwieśmy kilka godzin w Cytowianach przebyli, nadszedł raport z Szydłowa, że Rosyanie nacierają na naszą straż tylną, oddziałem, który się dość daleko od reszty wojska, za nami wysunął. Zaproponowałem Giełgudowi napaść na ten oddział, znieść go i spróbować przerwać otaczające nas koło nieprzyjaciół. Giełgud się zgodził i wysłał mnie do tylnej straży, aby uczynić rozporządzenia, jakie mi się najlepszemi wydawać będą. Ponieważ nocą tamtędy maszerowaliśmy, nie poznałem położenia, wziąłem przeto z sobą Macieja Mielżyńskiego i Staniewicza, jednego z naczelników żmudzkich, który był w tej okolicy, a zatem znał kraj doskonale. Bardzo to był rozsądny obywatel, odznaczył się był w kilku szczęśliwie stoczonych potyczkach. Mila była do Szydłowa. Stanęliśmy tam w godzinę i zastaliśmy wszystko w porządku. Wyszedłem z plutonem 1-go ułanów o ćwierć mili za nasze czaty i dopiero wtedy spostrzegliśmy zdala kilku Kozaków, a ognie rosyjskie daleko świeciły za nimi.

Powróciłem około północy do Cytowian, aby atak rozporządzić. Podczas mojej niebytności jednak namówił Giełguda i radę wojenną Szymanowski na marsz do Szawel, ażeby to miasteczko znowu opanować, ponieważ tam stał kilka tygodni przez cały przeciąg naszego pobytu pod Wilnem. Gdy powróciłem do Szydłowa, marsz dwoma kolumnami już był nakazany. Giełgud nie chciał uznać

moich uwag, że się tym marszem dostaniemy w matnię, z której trudno się będzie wydostać i po co szukać nieprzyjaciela, oszańcowanego w mieście, kiedy go mamy w otwartem polu i dogodnem położeniu. Wymaszerowaliśmy nazajutrz rano o świcie. W czasie marszu Giełgud zachorował i siadł do powozu. Jenerał Roland, najstarszy z nas objął dowództwo. Aryergarda miała o milę stanąć, aby podczas ataku wstrzymać nieprzyjaciela, który szedł za nami.

Maszerowaliśmy cały dzień 6 mil z Cytowian pod Szawle. Kilka godzin tylko nad wieczorem do 1-szej w nocy zatrzymaliśmy się od milę od Szawel i wnet pod miasto podeszła piechota. Ledwie dzień świtać poczynał, gdy stanęła. Rosyanie nie spali i do pierwszej naszej kolumny piechoty zaraz ogień działowy rozpoczęli. Z tego powodu jen. Roland kazał jej się rozwinąć i wysłał tyralierów.

Z drugą kolumną na naszym prawym boku, ale opodal i przedzielony od nas błotem i jeziorem, przymaszerował Szymanowski i atak od wschodniej strony rozpoczął. Przybył i Dembiński od Wiłkomierza i rozwinął się od północy za miastem.

Tyraliery nasze, rzecz oczywista, nic dokazać nie mogły, ponieważ Rosyanie stali za okopem, nie mocnym wprawdzie, bo jakby za rowem tylko, ale jednak byli zakryci. Rów ten był wyrzucony na płot pleciony z chrustu i dość dobre przedpiersie tworzył. Jenerał Roland kazał jednemu batalionowi strzelców sformować kolumny do ataku. Batalion poszedł śmiało naprzód, mimo ognia działowego i ręcznego i wszedł do miasta, ale nie wiem czemu za tym batalionem nie posłano zaraz drugiego. Wysłano drugi dopiero wtedy, gdy ten pierwszy, już i tak słaby, tyle ludzi stracił od ręcznej broni z domów napełnionych piechotą rosyjską, że się cofnąć musiał. Drugi batalion znów śmiało naprzód się rzucił i doszedł aż na plac środkowy, lecz tu ze wszystkich stron ogniem rażony, gdy

jeszcze padł jego dowódzca major Jaroma, ksiądz Loga i wielu innych oficerów, znów nie poparty, cofnąć się także musiał. Byłem obydwa razy z naszą piechotą w mieście. Pół kompanii Rosyan przed nami broń złożyło.

Z drugiej strony Szymanowski również z kolumną swoją atakował, lecz niejednocześnie, owszem już po ataku jen. Rolanda tak, że Rosyanie mogli na niego całą swą siłę obrócić. Dość, że atak z tamtej strony, czy kilka ataków nie udało się.

Jenerał Dembiński, sądząc zapewne, że wzięcie Szawel na nic nam się nie przyda, wcale nie atakował.

Około 3-ciej z południa jen. Giełgud z powozu swego porozsyłał rozkazy do wszystkich trzech maszerowania do Kurszan, mnie zaprosił do powozu, ażeby pomówić o tem, co czynić wypada. Teraz dopiero zwrócił myśl swoją do podziału na kilka oddziałów, któreby się rozeszły po całej Litwie i partyzancką prowadziły wojnę, zbierając powstańców. Zgodził się ze mną, ażeby 6 takich oddziałów utworzyć.

Po tej w powozie naradzie wsiadłem znów na konia i wróciłem do aryergardy. Dopiero po północy przymaszerowałem pod Kurszany, gdzie już z tamtej strony miasta i w mieście stały wszystkie oddziały. Z tyłu więc od przyjścia naszego od Szawel rozstawiłem placówki i czaty, poczem pośpieszyłem do Giełguda, ale już spał, powiedziano mi tylko, że nakazał radę wojenną, skoro dzień zaświta. Niedaleko już było do brzasku, więc położyłem się w pierwszym pokoju na podłodze, bo wszyscy spali.

Już dawno powiedziano, że do rady wojennej wódz się ucieka, kiedy nie wie co czynić, lub kiedy poddać się zamyśla. O poddaniu się tu mowy nie było i być nie mogło; mieliśmy jeszcze w tej chwili w naszym kraju na wszystkie strony pole otwarte.

Skoro rada się zebrała, po ostrych wymówkach pomiędzy Giełgudem a Dembińskim, któremu pierwszy wyrzucał, że jego rozkazów nie wypełniał, Dembiński zaś

Giełgudowi mnóstwo popełnionych błędów — podał Giełgud pod głosowanie rady, w jaki sposób się rozdzielić i na różne rozejść się strony, ażeby przedłużyć wojnę na Litwie, a uniknąć zamknięcia w tym kącie przez liczniejszego nieprzyjaciela.

Że się podzielić i na różne strony rozejść wypadało, to rozumieli prawie wszyscy. Już od dni kilku o tem mowa między oficerami była.

Podał tedy Giełgud pod głosowanie, czy się rozłączyć na trzy, czy na sześć oddziałów. Ponieważ prócz Dembińskiego i mnie nikt dowództwa odzielnego podjąć się nie chciał, zdecydowano się na trzy oddziały. Prócz jenerałów głosowali pułkownicy i kilku niższych oficerów, których na radę wezwano.

Teraz nastąpił podział na trzy oddziały. Do mego dawnego dodano mi 2-gi i 4-ty strzelców oba około 600 ludzi wynoszące. Trzem tym oddziałom naznaczono marsze początkowe, to jest pierwsze ich kierunku. Giełgud z Rolandem i Szymanowskim miał iść na Połągę (chciał bowiem jeszcze zadosyć uczynić instrukcyi odebranej z Warszawy), zostawić tam garnizon z saperami dla okopania się i ułatwienia wylądowania spodziewanych ludzi i broni z Francyi i Anglii, poczem zamierzał prowadzić wojnę partyzancką na Żmudzi, nad granicą Kurlandyi, skąd także do nas przybyło kilkunastu ludzi, zapewniając, że byleśmy się na granicy pokazali, lud wiejski, równie litewski, jak łotyski, gotów się łączyć z nami. Dembińskiemu naznaczono kierunek na Wiłkomierz i północ Wilna, skąd był przymaszerował pod Szawle, a zatem w znajomą mu okolicę. Mnie zaś południowy, naprzód ku Jurborkowi, a później przez Trockie na południe Wilna, gdzie także powstańcze oddziały się znajdowały. Wkońcu dodano do protokołu, który prowadził Potulicki, jako najmłodszy, że zostajemy wszyscy pod dowództwem Giełguda tak długo, jak komunikacye z nim będą możebne i że, jako samo przez się rozumie się, rozkazy od niego odbierane wypeł-

niać będziemy, ażeby związek w wykonywaniach utrzymać i jedność planu zapewnić, lecz ilekroć komunikacye między nim a nami zostałyby przecięte, każdy z nas mocen będzie działać według własnego natchnienia.

Dembiński chciał, żeby nad kierunkami głosować, ale Giełgud je sam zdecydował. Mnie każdy kierunek był obojętnym. Nie wątpiłem ani chwili, że skoro się odłączę z moim oddziałem, który był złożony po większej części z tych samych, którzy ze mną z pod Warszawy przyszli, do dawnego porządku ich zaraz przywrócę i krążyć po Litwie długo będę i Rosyanom szkodzić. Nadzieja oddalenia się od tego nieładu zupełnie mnie w tej nieszczęsnej chwili zaspokoiła.

Po upływie kilku godzin wymaszerował naprzód Giełgud z Rolandem i Szymanowskim ku Połądze, udając się tam na Telsze.

Zająłem się uporządkowaniem mojej piechoty i zapowiedziałem pułkownikowi Oborskiemu, który nią dowodził, że żadnej powózki nie ścierpię. Dawny mój oddział nigdy ich nie miał. Przeszedłem na południe miasteczka i ściągnąłem pierwszy regiment ułanów, który trzymał placówki na drodze od Szawel.

Wielka okazała się radość w moim dawnym oddziale, gdy się dowiedziano, że znów sami działać będziemy. Wymaszerowaliśmy wkrótce na drogę ku Łuknikom, naprzód trzy szwadrony ułanów 1-go pułku, strzelcy Stanisława Chłapowskiego, sto ludzi na konikach, za nimi pięć dział Czetwertyńskiego, potem piechota, a w tylnej straży ostatni szwadron ułanów opodal, z rozkazem nieprzepuszczania żadnej powózki za nami.

Dembiński został po nas w Kurszanach. Jego oddział potrzebował odpoczynku, ponieważ, z rozkazu Giełguda wciąż dzień i noc od Poniewieża pod Szawle maszerował. Pod Szawlami cały czas stał pod bronią i znów bez odpoczynku do Kurszan wyruszył.

Wyszedłszy z Kurszan, dnia pierwszego uszedłem

trzy mile. O jednę od Łuknik skręciłem małą dróżką na lewo naprzód, a później nawet bez dróżki przez pole, ażeby nas z miasta nie widziano, bo choć mieszkańcy byli nasi, w każdem jednak miasteczku znajdowało się kilku ludzi, najczęściej weteranów nieprzyjacielskich, albo rządowi oddanych, albo ze strachu donoszących o wszystkiem do rosyjskich komend. Stanąłem w nizinie otoczonej pagórkami, na której kazałem ludziom jeść sobie gotować i paść konie. Nocą zamyślałem puścić się dalej. Chciałem skrzyżować drogę z Rosien do Jurborga, przejść Dubissę i Niewiaże, które brodem przejść było można i dostać się nad Wilią, dokąd byłem już z Kurszan po radzie wojennej wyprawił pewnego człowieka dla przygotowania mi w leśnem, zakrytem miejscu tratw i łódek do przeprawy i dostałbym się był w Trockie, gdzie już od Wilna partyzanci z Zaliwskim się byli udali.

Wysłałem dwóch powstańców, znanych mi dobrze z poświęcenia, ku Rosienom, ażeby się dowiedzieli o poruszeniach nieprzyjaciela w tych stronach. Ostatnie bowiem wiadomości, które miałem, były, że główna kwatera rosyjska jen. Tołstoja, dowódcy korpusu znajdowała się w Rosieniach i że tam się połączył z nim jen. Kreutz, który przybywszy od Diebitscha w kilkaset koni, objął dowództwo. Ułożyłem się z tymi dwoma wysłańcami, że na drugi dzień powrócą do mnie do wsi ku Worniom, którą im wskazałem i że się spotkamy u pewnego obywatela.

Nad wieczorem, kiedy ludzie jedli i konie popasały, przymaszerował oddział Rolanda, zwróciwszy się z kierunku ku Połądze. (Do dziś nie wiem przyczyny tej zmiany.) Wmaszerowała jazda i piechota Rolanda do mego obozu bez najmniejszego porządku i przy naszych ogniach się rozłożyła. Byłem był pojechał do wioski o ćwierć mili dla wypytania się o drogę i wzięcia dobrych przewodników na noc. Spostrzegłem z daleka ten na nowo rozpoczynający się nieład. Jakby mi kamień spadł na głowę. Dopiero w kilka godzin kolumna moja wyjaśniała była. Radość

i nadzieja na wszystkich twarzach się malowała. Służba porządna. Jednym rzutem oka widać było, gdzie co jest w obozie. A tu znowu ta sama wrzawa i nieład, co w wigilię, jak chmura czarna w obóz mi wpadła.

Ruszyłem nazad do obozu, ażeby się wydobyć i z 10 mil od razu umaszerować, żeby mnie zaraz nie dogonili. A tu jedzie Giełgud koczem, za nim bryka, drugi kocz Tyszkiewicza i cały konwój bryk i bryczek całego sztabu w środek mojego obozu.

Spostrzegłszy Giełguda, zsiadłem z konia i powiedziałem mu o zamiarze przejścia w Trockie, ale że jedną drogą dwa oddziały, zwłaszcza tak mocne, się nie ukryją. Giełgud pochwalił mój plan, ale oświadczył, że ze mną pomaszeruje, a ponieważ go noga bolała, za pierwszym szwadronem wieść się kazał.

Ruszyliśmy więc dalej. Wtedy postawiłem Macieja Mielżyńskiego z oddziałem ułanów przy moście, żeby żadnej powózki nie przepuścił, aż w pół godziny po przejściu aryergardy. Miałem już przewodników dobrych. Maszerowaliśmy całą noc. Przed świtem stanęliśmy, popaśli koni i znów maszerowaliśmy, aż milę za Worniami ku Krożom stanęliśmy w ukrytej nizinie z czatami naokoło.

Stamtąd odjechałem z kilku ludźmi do wioski do starego obywatela, który zaraz posłał memu oddziałowi żywność i zarazem dostarczył mi wiadomości, że w Rosieniach i okolicy stoi cały korpus rosyjski. Mógłem mieć niepłonną nadzieję, że potrafię przeprawić się przez Dubisę brodem, przez Niewiażę niedaleko Kiejdan, a potem przez Wilią około Janowa, co tem łatwiejszem zdało mi się, że wszędzie statki były w ręku naszych. W Trockiem już korpus rosyjski zastąpić mi nie mógł i jużbym wszędzie otwarte pole na wszystkie strony znalazł. Wyjechałem naprzód z kilkoma oficerami dla rozpoznania okolicy, którą zamyślałem przez noc przebyć, ale mnie oficer z obozu dognał z wiadomością, że dwaj moi emisaryusze, minąwszy

się ze mną, do obozu teraz przybyli i że Giełgud ich zatrzymał i egzaminuje.

Spiesznie powróciłem do obozu i zastałem już wszystko w ruchu, bo Giełgud wymarsz nakazał. Tylko szwadron ostatni, który czaty trzymał, i Kaliszanie dwa szwadrony, które z Giełgudem przybyły, stały jeszcze na miejscu. Giełgud przy nich mi powtórzył to, co moi wysłańcy byli mu zaraportowali, to jest: że nie cały korpus rosyjski poszedł był za nami z Rosień ku Szawlom, że tylko wysłał naprzód awangardę swoją. Uwiadomił mię przytem, że ta straż przednia napadła na bagaże Rolanda, kiedy ten przechodził z drogi ku Telszom na drogę do Łuknik i że z bagażami zabrała na powózkach wielu naszych rannych, od których zapewne dowiedziawszy się, w jakim poszliśmy kierunku, musiała dać znać o tem do Rosień, ponieważ stamtąd ruszył cały korpus rosyjski kilkoma kolumnami niezawodnie, aby nam zastąpić drogę w naszym marszu południowo-wschodnim.

Giełgud, usłyszawszy od wysłańców moich te szczegóły, które się następnie okazały prawdą, rozkazał natychmiast marsz w prawo ku Fejdanom. Oddział mój ruszył był już na tę drogę, przy nim byli już tylko Kaliszanie i szwadron mej tylnej straży. Roland z całą piechotą i nową jazdą był został w tyle o mil parę, ale Giełgud już wysłał do niego rozkaz, ażeby także zwrócił w prawo.

Pierwszy raz wyrzekł, że musimy do Prus, inaczej dostaniemy się do niewoli.

Prosiłem Giełguda, żeby mi pozwolił wziąć pierwszy ułanów, że się z nim w nocy przeprawię, ale mnie zwlekł, żądał żebym zaczekał. Było to 10-go na wieczór. Maszerowaliśmy cały 11-ty już prosto na Retow ku Prusom.

Po kilku godzinach marszu usłyszeliśmy na naszej prawej stronie kilkanaście wystrzałów działowych. Giełgud kazał zwrócić czoło kolumny w tę stronę, ażeby nieść pomoc Rolandowi, który jako te strzały zapowiadały, był zaatakowany.

Przymaszerowaliśmy na wieczór do Żoran. Tam przybył oficer od Rolanda z uwiadomieniem, że tylna straż jego tak była silnie zaczepioną i partą, iż się musiał zatrzymać i uformować i że udało mu się odeprzeć nieprzyjaciela. Była to awangarda rosyjska, która z Szawel naprzód ku Kurszanom ruszyła, ale nie doszła do tego miasteczka, bo dowiedziawszy się, żeśmy na południe się skierowali, skręciła w tę stronę i w trop goniąc za Rolandem, zabrała mu w dniu poprzednim bagaże i wielu rannych. Ze zdrowymi jednak nie tak łatwo jej poszło Roland pod Powendyniami tak mężnie ją przyjął, że mu już potem dała pokój.

Nie wiem, jakie rozkazy Giełgud posłał Rolandowi, bom był zatrudniony w nocy stawianiem placówek i czat — dość, że z Powendyń Roland pomaszerował prosto ku granicy pruskiej do Gorzd.

Nazajutrz wyszliśmy rychło z Żoran i przeszedłszy Retów, stanęliśmy obozem o dwie mile od granicy pruskiej, prosto w Kłajpedę, czyli po niemiecku Memel. Z tego obozu wysłał Giełgud dwóch oficerów, z których jednego Poznańczyka, dobrze mówiącego po niemiecku, do władz pruskich z zapytaniem, czy według prawa narodów przepuszcza nas przez kraj swój do Królestwa Polskiego tak, jak to uczynili niedawno dla korpusu rosyjskiego pod Bartholomejem, który uciekając przed powstańcami żmudzkimi, schronił się do Memla, gdzie kilka dni odpocząwszy, opatrzony w różne potrzeby przez władze pruskie, bezpiecznie ponad morzem za ich pomocą przeszedł do Kurlandyi.

Marsz z Żoran do Retowa, wprost ku granicy pruskiej, widocznem czynił dla wszystkich, że w Prusiech będziem musieli schronienia szukać, skoro korpusa rosyjskie, z których każdy liczniejszy od nas wszystkich razem przecinają nam drogi i na nas z trzech stron nacierają. Tylko małymi oddziałami byłoby można się przemknąć przez kraj w lasy obfity. Napisałem też 12-go rozkaz dzienny

który Giełgud podpisał, że każdemu wolno się oddzielić i wziąć z sobą tylu ochotników, ilu mu się uda i prowadzić wojnę partyzancką na swoją rękę. Kilku też na to się wybrało i z nami zaraz się pożegnało. Dwaj z nich z oddziałami przez Trockie, a potem Augustowskie do Warszawy się dostali. Było to możebnem w kilkanaście koni ale niepodobnem w kilka tysięcy, chyba zaraz z Szawel rozłączając się na wiele małych oddziałów, maszerując w strony odleglejsze i uprzedzając nieprzyjaciela, ale teraz już Rosyanie nas w koło otaczali.

Wtenczas zebrałem oficerów, którzy ze mną z Warszawy przyszli i oświadczyłem im, że się z nimi żegnam, że z kilkudziesięciu ochotnikami puszczę się ku Warszawie. Na to jeden z oficerów powiedział: „Tak, jenerałowi będzie lepiej, bo tam masz szwagra“. Słowa te od oficera, który tyle razy obok mnie był w ogniu, mocno mnie poruszyły. Przytem i drudzy mnie prosili, żebym ich nie odstępował, że może się z Prus wydobędziemy, nareszcie i Giełgud mnie zaklinał, żebym ich do granicy odprowadził. Pozostałem jeszcze, ale Stanisław Chłapowski był z wybranymi ludźmi gotów, by ruszyć za pierwszem skinieniem.

12-go lipca przyszliśmy nad granicę pruską, obok Gudawy pod wieczór i stanęliśmy obozem, rozesławszy na wszystkie strony patrole.

Dnia 13-go po naradach Giełguda z pruskim landratem i oficerami, przeszły nasze oddziały granicę i zaczęły broń składać, z wyjątkiem tylnej straży.

Giełgud stał na koniu, otoczony licznym sztabem i oficerami pruskimi. Jenerał Roland nadchodził Gorzd ponad granicą i przysłał Giełgudowi list od jenerała rosyjskiego, adjutanta cesarza Mikołaja, Delingshausen. Giełgud przeczytał wszystkim ten list, którym jenerał rosyjski wzywał go i prosił, by do Prus nie wchodził, ale jemu się poddał, a on mu zapewnia ułaskawienie dla wszystkich od cesarza, gdyż do tego jest umocowanym. Dodawał, że każdemu po wojnie będzie wolno wrócić do domu lub

służyć dalej, ale jeżeli Polacy pokażą tę nieufność cesarzowi, że w Prusiech będą szukali schronienia, cesarz nigdy im tego nie przebaczy.

Giełgud przeczytawszy otaczającym go oficerom ten list, (o którego treści dopiero później się dowiedziałem, gdyż w owej chwili byłem przy szwadronie, który właśnie nad granicę był przyszedł), radził się wszystkich, jak zwykle, pytał, co czynić wypada, sam nic zdecydować nie mogąc.

Korpus Rolanda przeciągał właśnie za nami, wielu oficerów przejeżdżało do naszych, nasi do Rolanda. Było to zamieszanie pewne. Wtem oficer z 7-go pułku wpadł na koniu przez granicę, przejechał obok mnie aż do Giełguda, który stał z listem w ręku i strzelił do niego z pistoletu. Ugodził go prosto w serce, tak że spadł z konia i zaraz ducha oddał. Stało się to za szwadronami ułanów, którzy właśnie broń złożyli. Strzał i wrzawa ich zaraziły. Powsiadali na koń i w nieładzie zaczęli głębiej w Prusy wchodzić. Rozgniewany, widząc ułanów w debandadzie i wstydząc się przed cudzoziemskimi oficerami, siadłem na konia, ułanów dopadłem, uporządkowałem w szwadrony i porządnie na granicę przyprowadziłem. Już też Hempel z tylną strażą z Rosyanami się ucierał i przed nimi cofał. Przeszedł granicę i broń złożył. Wszystkie cztery szwadrony bezbronne dostały jeszcze kilka wystrzałów armatnich. Wtedy wolno postąpiliśmy dalej w Prusy.

Nie mógłem mojej osoby tak wysoko cenić, żeby opuścić oddział, który wszędzie pod mojem dowództwem dzielnie sobie postępował, opuścić go, kiedy położenie stawało się najprzykrzejszem. Nie wątpię, iż gdyby można było cały oddział przeprowadzić do Warszawy, byłby na zapewnienie moje mój oddział ze mną poszedł, ale kiedy z kilkudziesięciu ludźmi do wykonania to było, pasowałem się z sobą, aby jeszcze w nocy puścić się nazad w lasy. Ale byłoby to nadto miłości własnej, żebym myślał, że pewno przeprowadzę, a potem że moja osoba i te kilkadziesiąt ludzi będzie wielkim sukursem pod Warszawą.

Tak podzieliłem los tych, którzy go ze mną dzielili. Po śmierci Giełguda pozostawała mi zresztą nad wojskiem opieka.

Pomaszerowaliśmy o milę ku Memlowi. Na obóz wskazał nam miejsce jenerał pruski na gołym piasku, ale przynajmniej nad rzeczką z czystą wodą, o trzy mile od Memla. Roland z Szymanowskim pomaszerowali ponad granicą aż ku Nowemu miastu. Tam zastawszy przed sobą część korpusu rosyjskiego, który im drogę zastąpił, wkroczyli także do Prus i stanęli obozem pod Pakmonem.

Dowiedzieliśmy się później w obozie pruskim, że Dembiński szczęśliwie się dostał do Warszawy. Wyruszywszy z Kurszan do Wiłkomierza, obszedł wkoło Wilno, przeszedł Niemen, różne oddziały powstańców i Różyckiego Samuela ściągnął i znaczny korpus przeprowadził do Warszawy. Dowiedziawszy się w niewoli naszej o tym szczęśliwym ich powrocie, jedni zazdrościli, drudzy się cieszyli. Jenerał Dembiński zamiast wytłómaczenia w Warszawie swoich nieszczęśliwych kolegów i objaśnienia, że i oni kiedy się z nim rozstawali, dzieląc się, aby ujść przed tylekroć liczniejszym nieprzyjacielem, mieli nadzieję obejścia wokoło jego lewego skrzydła tak, jak jemu udało się koło prawego się przesunąć, — rozumiał, że powiększy swą sławę, zostawując opinię publiczną w mniemaniu, że w Kurszanach myśmy już byli zdecydowali przejść do Prus, a on sam tylko przedsięwziął orężem przerżnąć się do Warszawy i że jemu tylko Rosyanie zastępowali drogę.

W pruskim obozie pod Scherwen staliśmy aż do końca września. W obozie pruskim napisałem list do mego przyjaciela Caramana aby wyjaśnić nasze dotychczasowe niepowodzenie, przez stratę czasu Chłopickiego i że wyprawa na Litwę nie powiodła się przez niedbałość Giełguda, nie jak wówczas gazety pisały przez oziębłość Litwinów. A to napisałem w jednym celu, wiedząc, że we Francyi fałszywe mają o naszych siłach wyobrażenie. List

mój posłany przez Anglię, spóźnił się w drodze i przyszedł zamiast w lipcu, w końcu sierpnia. Po wzięciu Warszawy nie byłbym pisał.[1])

Nasi po ukończeniu wojny rozłożyli się około Królewca.

W lutym 1832-go opuścić musiałem wojsko i powrócić do domu.

Trudne w każdym przypadku było zadanie na Litwie ale też niedołężniej wojsko nasze prowadzonem być nie mogło, jak przez Giełguda. Nie wojsko, ale dowódzca winien, kiedy się wkrada nieporządek.

Jakim sposobem jen. Skrzynecki, który z Giełgudem dawniej służył, nie poznał się na jego nieudolności i nie osądził go niezdatnym, zwłaszcza do takiej wyprawy, gdzie prędka decyzya wszystko stanowi, pojąć trudno. Powinien był wysłać do objęcia ogólnego dowództwa nad nami któregokolwiek ze zdolniejszych jenerałów, których miał pod ręką, n. p. Prądzyńskiego, którego po Ostrołęce już byłby pewnie rad nie widzieć przy swoim boku. Geniusz Prądzyńskiego miałby był właściwe pole na Litwie. Dowiódł Prądzyński pod Iganiami, że się zdecydować w oka mgnieniu umiał, kiedy niebezpieczeństwo grozi. Miał Skrzynecki Tomasza Łubieńskiego, który lubo już o tym czasie nie przewidywał możebności wygranej, jednak gdyby był oddzielnie dowodził, jako człowiek uczciwy, pewnieby broni przed nieprzyjacielem nie złożył, czego dowiódł, cofając się z pod Nuru, a doświadczony wojen, byłby znowu za-

[1]) Lettres du Général Chłapowski sur les Événements militaires en Pologne et en Lithuanie. Paris 1831.

Broszurę tę w formie listu napisał jen. Chłapowski, nie jak wielu mniemało, ażeby się tłómaczyć z czynionych mu zarzutów, o których wtenczas wiedzieć nie mógł, ale dla oświecenia opinii we Francyi o przyczynach naszych dotychczasowych niepowodzeń. Wysłana w lipcu z Kłajpedy przez Anglię, opóźniła się w drodze i wydrukowaną została w Paryżu z datą późniejszą.

Przyp. Wyd.

wrzał ochotą do boju i przypomniał sobie, jak dobrze na Węgrzech około Neustadt w r. 1809 naprzeciw Chasteléra działał. Nareszcie miał Skrzynecki i Umińskiego, który wskutek nieporozumienia z nim podał się do dymisyi.

Umiński także byłby dobrze rzecz na Litwie prowadził, zawsze on wojsko w porządku trzymał, strzedz się w obozie doskonale umiał i na strony różne wyprawy szczęśliwie udawało mu się dysponować. Jako człowiek, miał wad wiele, między innemi namiętność do kart, ale podczas naszej wojny nie tylko sam nie grał, ale najsurowiej w obozie grać zabronił. O sobie samym tylko dlatego tu wspomnę, że rząd narodowy dopiero wtedy przysłał mi dowództwo, gdy przez kilku emisaryuszów odebrał wiadomość, że wszystko na Litwie idzie źle. Jenerał Skrzynecki trzymał po tygodniu każdego z tych emisaryuszów, którzy prosili, aby mnie dowództwo oddać. Nie znał on mnie wcale, nigdy z nim nie służyłem i wogóle oficerowie z wojska Ks. Warszawskiego mieli niechęć do oficerów z gwardyi Napoleona. Nie dziw więc, że jak mi powiadano, opierał się daniu mi dowództwa, obstając przy Giełgudzie. Moją nominacyę na naczelnie komenderującego na Litwie, datowaną z dnia 29-go czerwca[1]), odebrałem dopiero po tygodniu czy dwóch, pobytu w obozie w Prusach, a zarazem moc awansowania aż do stopnia pułkownika, rozdawania krzyżów aż do komandorskiego wyłącznie. Miałem z tego powodu odwiedzin i listów o krzyże bardzo wiele. Być może, że wielu podających się o nie, zasługiwało na tę nagrodę; wielu i na wyższą jeszcze, ale na obcej ziemi, nie pod bronią krzyże rozdawać, tak mi się w nie swojem wydawało miejscu, żem ani jednemu żądaniu zadość nie uczynił, stąd może ściągnąłem na siebie niełaskę niektórych; ale po kilkunastu bezowocnych próbach dano mi pokój.

---

[1]) 2-go lipca ogłosiła „Gazeta Narodowa“, że naczelne dowództwo na Litwie otrzymał jenerał Chłapowski.

Rzecz oczywista, że na to, aby można nam było na Litwie się utrzymać, trzeba było wziąć Wilno, co zrazu dawało się uskutecznić. Mielibyśmy wtedy nie tylko rzemieślników i broni wiele dla licznych powstań, ale i punkt środkowy pomiędzy czterema korpusami nieprzyjaciela, dążącymi na obronę stolicy i ważnych zakładów. Z Wilna w czasie organizowania tam powstańców na wojsko regularne, można było starymi naszymi pułkami poniszczyć pojedyńcze te oddzielne korpusa rosyjskie. Ale gdy my straciliśmy tyle czasu, Rosyanie się zebrali w Wilnie i utworzyli 20-tysięczny korpus. Gdy to się stało, a mianowicie gdy atak na Wilno się nie udał, należało zaraz porozdzielać się i pod pewnymi dowódzcami podążyć na wszystkie strony Litwy. Bylibyśmy wszystkich pozbierali powstańców. Każdy oddzielny nasz korpus byłby urósł do znacznej liczby, a Rosyanie ściągnęli już byli ostatki swoje z najodleglejszych prowincyi na Litwę. Byłoby nas przybywało, gdy ich koniecznie ubywać musiało. Nie byłby ten korpus rosyjski mógł pomaszerować pod Warszawę, przeciwnie musiałby pewnie stamtąd Paszkiewicz posiłki na Litwę wysyłać.

Nieszczęśliwa ta nasza gwiazda sprawiła, że wszystkich naszych oficerów fałszywie używano. Skrzyneckiego męczył Prądzyński bujną swoją wyobraźnią, która mu tyle planów do wykonania możebnych podawała, że wybór był nader trudnym. Prądzyński byłby zapewne najdoskonalej oddzielnym korpusem dowodził. Mniej zdatnym był na szefa sztabu, bo zbyt żywa wyobraźnia przeszkodą jest do obrachowania szczegółów, marszów etc., co stanowi główną szefa sztabu powinność. Przy Umińskim było aż dwóch oficerów, na szefów generalnego sztabu bardzo zdatnych. Znajdowali się w wojsku oficerowie wszelkich usposobień, ale ich nie użyto odpowiednio do ich zdolności.

Podczas naszej wojny skład sztabu głównego był złym i pociągał złe skutki za sobą. Szefostwo sztabu było

rozdwojone. Prądzyński i Chrzanowski, jeden szef sztabu, drugi kwatermistrzowstwa, niepodległy jeden drugiemu, nie mogli się porozumieć pomiędzy sobą, tem mniej, że tamten posiadał ognistą imaginacyę, a ten był pozytywnym. Wprawdzie po wymarszu Chrzanowskiego do Zamościa został Prądzyński sam jeden, ale przyjął rosyjskie urządzenie, korespondował wprost z szefami sztabów korpusowych i raporta odbierał. Jenerał Umiński, który krótko tylko za W. Księcia służył i więcej do francuskiej organizacyi był przyzwyczajonym, powiadał mi, że jak tylko się o tem dowiedział, natychmiast zakazał takowej korespondencyi, której przez czas jakiś ani się domyślał. Miał on przy sobie, jak już powiedziałem, dwóch bardzo zacnych i zdatnych oficerów, jednego jako szefa sztabu, drugiego jako szefa kwatermistrzowstwa, którzy rozumieli to dobrze, że w dowództwie jedność być musi i wszystko wychodzić powinno od naczelnego wodza, a szef sztabu ma tylko obowiązek wysyłać jego rozkazy i zawsze je adresować do dowodzących korpusami, nie zaś do szefów ich sztabu.

Cała władza powinna być ześrodkowaną w głównie armią dowodzącym. Szef sztabu tylko jego pomysły, że tak powiem, rozdrabniać powinien, to jest: skoro dowódzca wyda mu rozkaz ogólny ruchu dla całego lub części wojska, do niego należy obrachować marsze stosownie do położenia każdego korpusu i przesłać szczegółowe rozkazy każdemu dowódzcy pojedynczych korpusów. W dzień bitwy, kiedy całe wojsko jest pod okiem dowodzącego naczelnie, wtedy on już sam przesyła rozkazy ustne przez swoich oficerów. A zatem wódz naczelny i jego szef sztabu muszą być tak dobrani, ażeby stanowili jakby jedną osobę, ale zawsze głową całą winien być pierwszy, a drugi jego prawą ręką, uzupełnieniem. To, co wódz pomyśli, szef sztabu powinien od razu pojąć i umieć szczegółowo rozporządzić. Prądzyński własne pomysły miewał i to wielką naraz liczbę, i tem męczył Skrzyneckiego.

Cesarz Napoleon, który nie potrzebował nikogo do

podawania sobie planów, miał przy sobie Bertiego, którego największą zaletą była silna drobiazgowa pamięć i ścisłe trzymanie się rozkazów wydanych. Nawet Bertier szczegółowych rozkazów, to jest obrachowania marszów według położenia i odległości, sam nie wyrabiał. Miał do tego kilku oficerów doskonale z topografią obeznanych. Rozumie się to, gdy wojsko było w pewnej od nieprzyjaciela odległości, bo w blizkości, gdy było skupione, sam Napoleon wydawał wprost ustne rozkazy przez swoich tak zwanych oficerów ordonansu, którzy istotnie byli jego adjutantami, a ci, co tytuł jego adjutantów nosili, prawie wszyscy dowodzili korpusami. Najwięcej jeśli z tych ostatnich miał dwóch przy sobie i to dlatego; ażeby w przypadku mógł nimi zastąpić zabitego lub ranionego marszałka w dowództwie korpusu.

Oto, jakim za Napoleona był skład głównego sztabu:

Szef sztabu ma pod sobą wszystkich, którzy tylko do sztabu należą, z wyjątkiem jednak adjutantów i oficerów ordonansu, którym sam wódz wydaje rozkazy.

Dzieli się sztab główny na trzy oddziały:

I. Ruchy wojenne. Do wyrachowań potrzebnych szef sztabu ma podszefa sztabu, pod którym są oficerowie topografii, zaopatrzeni w mapy konieczne. Pod nim także stoją jenerał całej artyleryi i jenerał inżynieryi, tudzież jenerał obożny, który dowodzi porządkowymi żołnierzami w wojsku francuskiem i innych, zwanymi żandarmi wojenni.

II. Ruch wewnętrzny. Biuro pod sztabsoficerem do odbierania szczegółowych raportów o stanie regimentów i bateryi (situation) i wydaje tymczasowe nominacye na wyższe stopnie, które wódz naczelny udziela.

III. Służba utrzymania i leczenia. Intendent naczelny i wszyscy do tego potrzebni urzędnicy, lekarz naczelny i lekarze pod jego rozkazy oddani.

Wszystkie te trzy oddziały stoją pod rozkazami szefa sztabu. Wszystko, co tylko do składu i utrzymania woj-

ska należy, musi być w jednej ześrodkowane ręce. Wódz naczelny daje rozkazy, szef sztabu je rozdziela.

Bardzo użytecznymi w głównej kwaterze byli żandarmi wyborowi. Było ich cztery szwadrony, które maszerowały zawsze za ciężką jazdą gwardyi, grenadyerami konnymi zwaną, i co do zbroi i siły koni były do niej podobnymi. Ci żandarmi nie stawali na warcie, ale po dwóch chodziło z jednej i drugiej strony domu, w którym cesarz miał główną kwaterę, uważali na wszystko wokoło i porządek utrzymywali. Prócz tego chodziło ich także po dwóch na końcach miasta, lub wsi, gdzie była główna kwatera. Tam nie tylko oni porządku pilnowali, ażeby drogi wolne były i niezapchane powózkami, ale wiedzieli zawsze o kwaterach oficerów do głównego sztabu należących tak, że naprzykład, kiedy który z nas powracał w nocy od korpusu, do którego jeździł z rozkazem od cesarza, na wjeździe do miasta lub wsi napotykał tych żandarmów, z których jeden zaraz prowadził go do domu mieszczącego w sobie kwaterę główną cesarza, a zarazem wskazywał kwaterę dla przybywającego, która jeśli nie w tym samym, co cesarz domu, to zawsze w jego pobliżu znajdowała się. Rzecz oczywista, że ci żandarmi co dwie godziny przemijali się. Pułkownik ich był zarazem komendantem placu głównej kwatery i do wielorakiej tej służby używał oficerów i podoficerów swego regimentu.

W kraju nieprzyjacielskim, w którym pocztmistrze niepewni, stawiano takiego żandarma na poczcie, a po dwóch w Hiszpanii, gdzie najczęściej pocztmistrze z swych miejsc uciekali. Żandarmi znali nas wszystkich od boku cesarza i wiedzieli, komu dać koni a komu nie. Cztery szwadrony tych żandarmów niezawodnie biłyby się doskonale w potrzebie, bo składali je sami starzy, doświadczeni żołnierze. Chociaż wielu było na poczty wykomenderowanych, zawsze ich widziałem cztery choć słabsze szwadrony. Myślę, że zamiast żandarmów polowych, nie wyborowych, którzy byli przy innych korpusach, daleko

lepszem urządzeniem byłoby, gdyby z tego wyborowego znajdowało się po jednym plutonie z dwoma oficerami przy każdym korpusie, bo tym sposobem byłoby jeszcze więcej związku pomiędzy główną kwaterą a korpusami.

W polskiem wojsku nie nazwałbym ich żandarmami, ale oboźnymi, ponieważ w starodawnem naszem wojsku był jenerał oboźny do porządku obozowego. Wyraz żandarm teraz raczej policyą pokojową, jak obozem pachnie.

Ale oprócz tych oboźnych utworzyłbym regiment posyłek z ludzi młodszych, na lekkich koniach, zgrabnych i wyćwiczonych w następującej służbie. Naprzód, kiedy niema potrzeby wysyłania oficera z ustnym rozkazem, często wypadnie wyprawić podoficera z listem. W wojsku francuskiem wysyłano wtedy z regimentu jazdy gwardyi, co jest uszczerbkiem dla pułku i zwykle za ciężki to jeździec. Powtóre doświadczyłem nieraz, jak wiele czasu traci oficer, kiedy sam jeden jedzie z rozkazem a do tego w nocy. Gdyby miał posyłkę przy sobie, to przybywszy do korpusu, posyłka ten odebrałby mu konia i nie tracąc czasu na staranie, komu naprędce go oddać, zarazby znalazł drugiego, bo do każdego korpusu przyłączyłbym jeden pluton z tego regimentu posyłek. Zwykle oficer jadący z rozkazem, bierze przewodnika, więc posyłka mógłby go pilnować.

Te szwadrony posyłek miałyby swoją wartę w głównej kwaterze i trzymałyby tam w pogotowiu zawsze przewodników świadomych wszystkich dróg w okolicy. Niechby ci przewodnicy siedzieli na własnych chłopskich koniach, a jeszcze lepiej, gdyby było przy takowym regimencie posyłek kilkanaście koni skarbowych pod przewodników. W kraju obcym bałby się jednak na takim koniu przewodnik jechać, bo w razie pojmania, wydałyby go kulbaka, rzemień i inne znaki.

Prócz tych wszystkich dogodności, któreby podobny regiment przynosił spiesznemu przechodzeniu rozkazów z głównej kwatery do korpusów, a w tym względzie na

szybkości wiele zależy, byłaby jeszcze jedna ważna przyczyna, za nim przemawiająca. Zwykle każdy jenerał bierze ordonansów z pułków jazdy, którymi dowodzi. Otóżbym surowo tego zakazał i dawał im ordonansów z regimentu posyłek, którzyby się zmieniali podług rozporządzenia swych oficerów. Branie ordonansów z pułku bardzo uszczupla regimenta jazdy, a przytem ciężki jeździec, ciężko uzbrojony, niewłaściwym jest do latania za jenerałem. Pułkownicy bardzo niechętnie ordonansów jenerałom dają, a gdyby przy każdym korpusie był pluton posyłek, dawanoby z niego jenerałom ordonansów, których oficerowie pilnowaliby, aby się jak należy zmieniali i trzymaliby ich w rygorze służbowym, nie dozwalając, aby przywykali do służby masztalerskiej, jak to się często przy dotychczasowych zwyczajach dzieje.

Ponieważ chciałbym mieć w wojsku mniej jazdy, ale za to dokładnie i doskonale wyćwiczoną, na dobrych dla każdego gatunku jazdy właściwych koniach, pragnąłbym wszystkiego uniknąć, coby tę jazdę zmniejszało, a doświadczenie uczy, że dawanie z niej ordonansów jenerałom bardzo jest szkodliwem. Ordonanse odzwyczajają się od służby szeregowej. Osobliwszą też szkodę przynosi to kirysyerom i ułanom, bo nie tylko jeździec, ale i koń powinien być jak wkuty w szereg. Regiment ten posyłek nazwałbym *Gidami*[1]). Z francuskiego mamy już grenadyerów i inne wojskowe wyrazy, więc i ten możnaby przyjąć. Dwa te regimenty, oboźnych i gidów, należałyby do jazdy rezerwowej i w potrzebie mogłyby być jak ta do boju użytemi.

Wypada mi wkońcu położyć daty i podług nich dzienne marsze na Litwie dla lepszego zrozumienia zdarzeń.

---

[1]) W wojsku pruskiem po doświadczeniach wojen 1866 i 1870 roku teraz dopiero przed trzema laty zdecydowano się na tę organizacyę. Nazwano tych jeźdźców Meldereiter lub Jaeger zu Pferde.

Przyp. Wyd.

21-go *maja* po północy przeszedłem pod Niemen granicę Kongresowego Królestwa Polskiego.

22-go maszerując dzień cały, nad wieczorem wpadłem do Bielska. Dowiedziawszy się, że jen. Linden z kilku batalionami i szwadronami pod Białowieską puszczę przybył dla wyłapania tamże powstańców, pomaszerowałem ku tej puszczy.

23-go potyczka pod Hajnowszczyzną, zabranych 370 piechoty, 26 ułanów, 9 oficerów, 1 działo. Noc pod Berezowem.

24-go w Masiewie, gdzie przybył pierwszy oddział 60 ludzi, powstańców.

25-go w Rudni.

26-go w Chrinkach — patrole ku Słonimowi.

27-go w Msibowie.

28-go pod Zelwanami przeszedłem Niemen i patrol ku Grodnu.

29-go pomaszerowałem w prawo, na Mosty do Różanki.

30-go pod Orlanką.

31-go potyczka pod Lidą, zabranych 400 piechoty, chorągiew, dwa działa. Atak na Żyrmuny.

1-go *czerwca* za Mytem.

2-go pod Zoranami.

3-go pod Stokliszkami.

4-go potyczka z Kozakami w Użugościu. Noc w Kitowiszkach, dokąd przybywa osobiście Ogiński i Matuszewicz.

5-go połączenie się z rana w Gabryelowie z akademikami wileńskimi, z oddziałami Ogińskiego, Matuszewicza i panny Plater. Tegoż dnia noc w Zołach.

6-go przejście Wilii pod Janowem.

7-go w Zeymach.

8-go za rozkazem Giełguda ja osobiście do Kiejdan, ułożywszy marsz na Wilno, wracam do Zeym i tegoż dnia wymaszerowaliśmy ku Wiepszom.

9-go w Wiepszach nad Św. Rzeką.

10-go w Czebiszkach.

11-go przez Wilię ku Jewiu.

12-go dowiedziawszy się, że Giełgud nie maszeruje, stałem dzień cały i organizowałem pułk 26-ty z nowo przybyłych oddziałów Radziszewskiego, Grotkowskiego i innych.

13-go zająłem Rykonty, Malowankę i stanąłem z przednią strażą nad Waką, naprzeciw pozycyi rosyjskiej na Ponarach.

14-go Rosyanie atakują moją przednią straż pod Waką, kawalerya ich wpada na most, lecz piechota nasza ją do odwrotu zmusza.

15-go robię rekonesans aż pod samą pozycyę na Ponarach, przekonywam się, że Rosyanie się na niej okopują — wysyłam do Giełguda, zaklinając, żeby przybywał, póki czas sprzyja — donoszę mu, że Kuruta z brygadą piechoty gwardyi i brygadą kawaleryi, 22 działami do Wilna dąży, toż samo od Witebska jedna dywizya armii rezerwowej Tołstoja, że jeszcze czas wziąć Wilno i w niem znaczne zapasy, za dni kilka już za późno będzie.

16-go Rosyanie atakują z przodu i z boku Wakę, piechota ich naszą wypiera, lecz z Malowanki posuwając szwadron 1-go ułanów i kompanię piechoty Stanisława Chłapowskiego, wpadam do Waki i na most, właśnie kiedy go palić zaczynają.

17-go wysyłam opanować Troki dla zaimponowania nieprzyjacielowi. Matuszewicz wchodzi do Trok i spotyka tam Zaliwskiego.

18-go około południa nareszcie przybywa jen. Giełgud osobiście do mnie do Rykont.

19-go atak na Ponary — noc, Giełgud pod Jewiem — aryergarda pod Rykontami.

20-go w Zyzmorach.

21-go w Kownie.

22-go w Kownie.

23-go w Łabanowie.

24-go w Kiejdanach.

25-go mianuje mnie jen. Giełgud swoim szefem sztabu.

26-go w Iszwunach.

27-go w Rosieniach.

28-go w Rosieniach organizuję oddział na Połągę.

29-go dochodzi nas wiadomość o wzięciu Kowna i rozbiciu pułku 25-go, maszerujemy zaraz na Kiejdany.

30-go w Eyragole.

1-go *lipca* w Kiejdanach.

2-go wysyłamy patrole do Łabanowa i ku Zeymom dla zakrycia marszu Dembińskiego, który odebrał rozkaz marszu w Wilkomirza ku Kiejdanom.

3-go czekamy na Dembińskiego, po odebranej wiadomości, że tenże pomaszerował ku Poniewieżowi i za zbliżeniem się Rosyan, cofamy się na Iszwuny.

4-go w Gajtowie.

5-go bitwa pod Plemborkiem.

6-go w Cytowianach.

7-go marsz na Szawle aż do Dubia.

8-go atak na Szawle — noc w Kurszanach.

9-go zrana rada wojenna w Kurszanach i marsz ku Jurborkowi.

10-do między Worniami a Krożami.

11-go Zorany.

12-go pod Wywierzanami. Na wieczór nad granicą.

13-go o czwartej po południu wejście do Prus po zabiciu Giełguda.

INSTRUKCYA JEN. SKRZYNECKIEGO. [1])

Nr. 147. W kwaterze głównej w Warszawie, dnia 1-go lipca roku 1831.

Naczelny Wódz Siły Zbrojnej Narodowej.
Do
Jaśnie Wielmożnego Jenerała Chłapowskiego, Dowodzącego na Litwie.

Główne siły nieprzyjacielskie są zgromadzone około Pułtuska. Uważam na poruszenia, które ich nowy wódz może zrobić. Położenie nasze jest dobre. Podole, Ukraina, Wołyń powstają.

Jenerał Kreutz z korpusem kilkunastutysiącznym przeszedł Bug i może udać się na Litwę. Jenerał Tołstoj ma się posuwać przez Białoruś na Litwę.

Pan Jenerał masz się więc pospieszyć z wzięciem Wilna. Powstanie trzeba rozszerzać, wojsko organizować. Jenerał powinieneś zająć Połągę i Libawę, niemniej starać się o wzięcie Dynaburga i Bobrujska.

Jenerał masz działać z jak największą szybkością, albowiem w obecnem położeniu każda chwila czasu jest ważną i stanowczą.

Skrzynecki.

---

[1]) List ten, który jen. Chłapowskiego wcale nie doszedł, dajemy, bo pokazuje, jak w Warszawie nie miano wyobrażenia o tem, co się dzieje na Litwie. Pisany w 12 dni po ataku na Wilno, w chwili ruchu Giełguda ku Kiejdanom. Przyp. Wyd.

Skoro korpus odbył kwarantannę, zażądał jenerał Chłapowski przepuszczenia go do Królestwa wedle brzmienia rozkazu gabinetowego z dnia 11-go lutego 1831 roku, w którym powiedziano, że na przypadek przejścia granicy przez jaki oddział wojsk walczących pozwoli mu się powrócić do ojczyzny z tą jednak różnicą, że Rosyanie broń zatrzymają, Polacy zaś muszą ją złożyć na granicy. Gdy miejscowe władze tego odmówiły, zwrócił się jenerał z tem żądaniem do króla pruskiego. Na to odebrał odpowiedź, którą w dosłownem brzmieniu po niemiecku podajemy:

Erstes Armee-Korps.
General-Kommando.
Sektion I.
Nr. 206. September.

Seine Majestät der König haben auf die von Euer Hochwohlgeboren, unter dem 25-ten vorigen Monats an Allerhöchstdieselben gerichteten Immediat-Eingabe in der Art zu entscheiden geruhet, wie die Anlage dieses darthut.

Ich ermangele nicht, durch Mittheilung dieser Abschrift, den mir gewordenen Allerhöchsten Befehle nachzukommen.

Königsberg, den 14-ten September 1831.

Der kommandirende General,
von Krafft.

An den königlichen polnischen Brigade-General, Ritter, etc. etc., Herrn von Chłapowski Hochwohlgeboren zu Fischhausen.

Abschrift.

Unter Zufertigung der Eingabe des polnischen Generals Chłapowski von 25-ten vorigen Monats, trage ich Ihnen auf, ihm eröffnen zu lassen, dass meine Bestimmungen, vom 11. Februar dieses Jahrs, nur eine Instruktion für die Befehlshaber der diesseitigen Gränz-Postirung sind, welche nur nach den Umständen auf die vorkommenden Fälle angewendet werden können, den Fall aber gar nicht vorgesehen haben, dass ein beträchliches Truppen-Korps eine Zuflucht auf dem diesseitigen Gebiete suchen werde. Wenn also auch bei dem Uebertritt einzelner Individuen, oder kleiner Abtheilungen, wie es in meiner Instruktion vorausgesetzt ist, dem Befehlshaber der Gränz-Postirung erlaubt worden, den Einzelnen die Rückkehr in ihre Heimath zu gestatten, so hat nicht die Absicht seyn können, solches auf eine Truppenmasse von mehreren tausend Mann auszudehnen weshalb es bei den Vorkehrungen bleiben muss, die wegen Vertheilung der Offiziere und Soldaten bereits getroffen sind. Die polnischen Offiziere und Gemeinen müssen es dankbar erkennen, dass dem von kaiserlich russischer Seite aufgestellten Verlangen der Extradition, welches in den bestehenden Traktaten wohl einigen Anhalt hätte finden können, nicht genügt worden ist; die Rückkehr derselben während des noch bestehenden Kampfes, ist aber ganz unzulässig.

Charlottenburg, den 5. September 1831.

(Gez.) Friedrich Wilhelm.

An den General-Lieutenant von Krafft, zu Königsberg, in Preussen.

PLAN JEN. CHŁAPOWSKIEGO

przedłożony jen. Giełgudowi po odstąpieniu z pod Wilna.

Wyprawa na Połągę jest mrzonką.

Na nową formacyę na Żmudzi nie można liczyć, bo nie mamy broni, a nieprzyjaciel będzie dość przezorny, by nam czasu do tego nie dać, szczególniej, jeśli pozostaniemy razem i zatrzymamy wiele bagaży, które łatwości ruchów przeszkadzają. Nieprzyjaciel jest teraz za silny, aby można na walną bitwę z nim się narażać. Musimy się więc co najmniej na sześć korpusów podzielić i po całej Litwie rozrzucić. Do tego koniecznie potrzebną jest reorganizacya. Musimy się wszyscy zebrać i naradzić, aby na przyszłość rozdzielone korpusy podług powziętego z góry planu działały i aby jeden drugiemu nie przeszkadzał.

Cała więc armia musi się ściągnąć na jeden punkt, a mianowicie do Aleksoty, a saperzy, dziś jeszcze wysłani w województwo augustowskie, winni tam zebrać kilka tysięcy chłopów dla urządzenia oszańcowanego obozu w tej korzystnej pozycyi. W czterech dniach połączenie armii może nastąpić i cała rzecz w dniach 8-miu może się wykonać.

Jak tylko się będzie w obozie (a Kowno, które jest w mocy tego, kto ma Aleksotę w swych rękach, obfituje w środki do życia i inne potrzeby), zaprowadzi się karność i ład. Całe wojsko podzieli się na sześć korpusów, każdy po 1000 starych żołnierzy z wybranym i doświadczonym

dowódzcą na czele. Dalej musi się wybudować trzy mosty na trzech różnych punktach Niemna pod zasłoną ognia z lewego brzegu. Będziemy się w obozie tym trzymać, jak długo tylko będzie można. Przy tem nic się nie straci. Dyscyplina się zaprowadzi, a nieprzyjacielowi się przeszkodzi wysyłać oddziały wojska przeciw powstańcom. Tym zaś nakaże się, by się trzymali swoich powiatów.

Prawdopodobnie armia nieprzyjacielska pozostawi korpus obserwacyjny na drodze do Wilna i przejdzie Niemen pod Kownem, najpodobniej z Rumszyszek w okolicy Prenny, aby nasz oszańcowany obóz zaatakować.

W tej chwili, w której się przekonamy, że Rosyanie się zbliżają, opuścimy obóz cichaczem, co bardzo dobrze może być wykonanem, jeśli wszystko będzie przygotowane i wszystkie rozkazy na czas rozdane. Pozostawimy wszystkie nasze bagaże w obozie. W nocy przejdzie pięć korpusów Niemen na przygotowanych mostach, które po dokonanem przejściu, a nie prędzej spalone będą o świcie, czego mała liczba kawaleryi dokona. Szósty korpus, który musi mieć najwięcej piechoty, opuści obóz najpierwszy, nie przejdzie Niemna, pójdzie ponad lewym jego brzegiem i tejże nocy zrobi marsz o ile można najdłuższy. Drugiej nocy zwróci się na lewo, przetnie szosę do Szuwałk, rzuci się w lasy grodzieńskie, przetnie żwirówkę między Grodnem a Białymstokiem i ostatecznie stanie w Białowieży. Marsz tego korpusu tem łatwiej ujdzie uwagi Rosyan, gdyż jej cała baczność zwróconą będzie na przeciwną stronę Niemna.

Te pięć korpusów, po przejściu Niemna, takie obiorą kierunki:

pierwszy do lasów telszyńskich:
drugi między Szawlami a Poniewieżem;
trzeci między Wilkomierzem a Witebskiem;
czwarty do Trok i w prawo;
piąty do Lidy i Borysowa.

Jako dowódzców przedstawiam:

Dla pierwszego korpusu: Szymanowski, a w razie słabości jego Oborski lub Staniewicz; dla drugiego: Walenty d'Hauterive; dla trzeciego: Dembiński: dla czwartego: Koss; dla piątego: Chłapowski; dla szóstego: Giełgud z Rolandem i Piętką, gdyż z lasów białowieżkich będzie się mógł łatwo porozumieć z Warszawą i najbliższym korpusem litewskim. Zaliwski, który już poszedł do Białowieży, może być skierowany stamtąd w stronę błot pińskich.

Każdy z tych pięciu dowódzców będzie miał nad korpusem swym prawa naczelnie dowodzącego. Będą oni według upodobania w oznaczonych kierunkach i ile możności w tychże postępować naprzód.

Dowódzcom nakazanem będzie:

1) nie zatrzymywać się ani po miastach, ani po wsiach i tylko pojedynczym oficerom w szczególnych razach i za wyraźnem zezwoleniem, miejscowości pewne wolno będzie zwiedzać, gdyż inaczej nieprzyjaciel dowiedziałby się o wszystkiem;

2) jeżeli będzie możliwem, jeden korpus z drugim będzie się komunikował;

3) w danych okolicznościach łączyć się i napadać na oddziały nieprzyjacielskie.

Przy takiem połączeniu najstarszy rangą naczelnik obejmuje dowództwo. Po bitwie rozejdą się natychmiast.

To jest jedyny plan, jaki pozostaje nam do wykonania, jeżeli chcemy ujść ogólnej porażki, a tej nie ujdziemy, skoro pozwolimy się zamknąć na Żmudzi w stronę Połągi. Plan ten także podaje nam jedyny środek dostania broni i amunicyi.

Głównym jednak warunkiem powodzenia tego planu jest tajemnica aż do chwili przejścia Niemna. Pomnoży się, o ile można liczbę oddziałów partyzanckich, które rozrzucone działać będą we właściwych sobie miejscowościach. Nadejdzie ich dość do Aleksoty w przekonaniu, że ich opuścić zamierzamy.

Opis działań wojsk powstańczych na Litwie

przez oficera sztabu jeneralnego rosyjskiego do oficera pruskiego. [1])

Przybyłem do Wilna 24 maja (5 czerwca), znalazłem tam wszystko w ruchu, gdyż chodziła pogłoska, że znaczny korpus powstańców polskich wkroczył przez Białystok na Litwę, w okolicy Wołkowysk pobił kilka korpusów, załogę w Lidzie zabrał i w pospiesznym marszu idzie na Wilno. Miasto miało wtenczas najwyżej 1.200 ludzi załogi. Wkrótce jednak przyniósł nam specyalny raport z Lidy wiadomość pewną, że był to tylko do szaleństwa śmiały oddział partyzancki, złożony z I. pułku ułanów, 200 pieszych i jednej bateryi konnej artyleryi, który jednak prowadził ze sobą 200 wozów ładowanych bronią i amunicyą. Jednocześnie doniesiono, że oddział opuścił Lidę i drogę ku Wilnu, i że poszedł ku Mereczowi. Mając wiadomość, że inny oddział powstańczy idzie na Kowno, domyślano się, że marsz pierwszego, połączenie obydwóch ma na celu. Niepokój wzmógł się na nowo, gdy batalion wysłany w stronę Trok dla wyparcia oddziału Ogińskiego, wrócił i oznajmił przybycie nieprzyjacielskiego korpusu w okolicę Trok i połączenie się takowego z powstańcami.

[1]) List ten cytowany przez Hr. Macieja Mielżyńskiego w broszurze: Uwagi do dzieła dr. Spaciera. „Wyprawa na Litwę jenerała Dembińskiego i jego odwrót z pod Kurzan“ — dajemy jako sąd ze strony rosyjskiej o planie ataku na Wilno.

(Przyp. Wyd.).

Sądzono, że wzmocniony pod Mereczem zaraz ruszy na Wilno. Wkrótce jednak dowiedziano się, że po dokonaniu połączenia oddziałów powstańczych pod Ogińskim i Matuszewiczem, poszedł przez Jawię ku Wilii. Połączenie się korpusów Sackena i Malinowskiego, z których pierwszy liczył 2.000 piechoty, 600 konnicy i dwie baterye, zdążał do Wilna, a drugi wynoszący ogółem 1.500 żołnierza, przyszło do skutku i natychmiast zajęli oni silną pozycyę na wzgórzach Ponarskich pod Wilnem. Przednia straż połączonych korpusów powstańczych ukazała się przed Ponarami dnia 1 (13) czerwca i po gwałtownym ataku naszych przednich straży, osadziła most na Wace, na głównym gościńcu pocztowym.

Wobec tego mieliśmy tylko 3.500 piechoty do obrony Wilna. Przyrzeczona nam dywizya gwardyi litewskiej była jeszcze o 6 dni marszu, a armia rezerwowa o dni 8 marszu oddalone. Zaczęto zatem przygotowywać się do wyjścia z miasta i zniszczenia składów broni i amunicyi. Dnia 2 (14) nieprzyjaciel ograniczył się na ogniu tyralierskim na całej linii i rozpoznawaniu naszych pozycyi, podczas gdy cała jego siła zachowywała się spokojnie nad Waką. Zdecydowano odebrać mu most, z którego pozycye nasze można było obserwować. Natarto na nieprzyjaciela dnia 3 (15) o świcie, ale stanowisko jego było zbyt korzystne, wzięliśmy za mało wojska i zostaliśmy odparci mimo tego, iż do samego dotarliśmy mostu.

Następnego rana ponowiliśmy atak naszem lewem skrzydłem, maskując go atakiem na front. Piechota nasza owładnęła pierwszą linię nad Waką, gdzie nieprzyjaciel słabą straż dnia tego postawił; gdy jednak cała jego siła zachodziła nas od Malowanki, musieliśmy się cofnąć.

Następnego dnia zawiadomiono nas, że inny korpus powstańczy ciągnie ponad prawym brzegiem Wilii na Kalwaryę. Przez to przyszliśmy do przekonania, że nieprzyjaciel rozdzielił swe siły i nie obawialiśmy się już o Ponary. Przewidując, że ów korpus wysłany został na

wstrzymanie niecierpliwie przez nas wyczekiwanej dywizyi Tołstoja, rzuciliśmy korpus obserwacyjny, złożony z różnej broni, który miał z tej strony nieprzyjaciela niepokoić. Gdy zaś Wilia dopiero o 50 wiorst powyżej Wilna mogła być przebytą, więc miasto także z tej strony od zaczepki było zabezpieczone.

Jakżeśmy się dziwili, że ani 5 (17), ani 6 (18) czerwca z żadnej strony nie byliśmy przez powstańców zaatakowani. Teraz Wilno było ocalone. Przez ten czas zajmowano się ciągle wzmocnieniem pozycyi pod Ponarami, obsadzono wzgórze działami, któreśmy naprędce zaprzęgami opatrzyli, również i dywizya gwardyi przyszła na czas. Pierwsza dywizya rezerwy zbliżała się jednocześnie od strony północnej. Gdyśmy więc 7 (19) czerwca zostali zaatakowani, byliśmy pewni sił naszych. Nie ulega jednak wątpliwości, że trzy dni przedtem nie byliśmy w stanie się utrzymać. Wilno byłoby natychmiast przez powstańców wzięte wraz ze znacznemi materyałami wojennemi, a my od dywizyi gwardyi odcięci. Jeżeli więc kiedykolwiek powstańcy mieli sposobność przewagi na Litwie, to tylko wtenczas, gdyż nie da się zaprzeczyć, że wzięcie Wilna wywarłoby ogromny wpływ moralny, a następstwa stąd byłyby nie do obliczenia.

Ale 7 (19) czerwca było zapóźno. Znaleziono nas wzmocnionych i przygotowanych dostatecznie. Nieprzyjacielska piechota poczęła nas żywo atakować, my zaś odpieraliśmy ją ze spokojem. Nie potrzeba było żadnych manewrów; kolumny nieprzyjacielskie kilkakrotnie wznawiały atak, przyjmowane jednak ogniem naszych ciężkich dział, tem więcej traciły ludzi, im natarczywiej się posuwały. Spostrzegłszy wszczynający się nieporządek w ich szeregach, puściliśmy naszą kawaleryę. Konnica ich jednak tak wybornie i zręcznie prowadzone szarże wykonywać umiała, że w każdej chwili, kiedy ich przednią linię myśleliśmy otoczyć, świeże lub nowo zebrane szwadrony potrafiły ją uwolnić.

Tu trzeba oddać sprawiedliwość męstwu ich konnicy i talentowi tego, co chwile stanowcze tak dobrze umiał wybierać. Kilku jeńców, którzy dostali się w nasze ręce, mówiło, że to generał Chłapowski szarże te prowadził. Szarżom tym winna piechota ocalenie, gdyż przez nie miała czas skupić się i cofnąć. Jeden tylko batalion został odcięty i wzięty w niewolę. Nie opuściliśmy naszych pozycyi, aby nieprzyjaciela ścigać, gdyż cel obronienia Wilna był osiągnięty. Nic już nie mogło przeszkodzić połączeniu się naszych wojsk, które utworzyły korpus o sile, zapewniającej nam zwycięstwo. Korpus powstańczy, który atakował Ponary, cofnął się gościńcem do Kowna i wzdłuż Wilii, a korpus obserwacyjny z północnej strony Wilna na Wiłkomierz. Jak tylko była pewność, że nieprzyjaciel rzeczywiście w wymienionych kierunkach poszedł, zaczęliśmy go ścigać.

Dopiero 16 (28) czerwca doszliśmy go pod Kownem. Miasto zostało wzięte szturmem, jeden pułk nieprzyjacielski w części rozproszony, częścią w niewoli, a kolumna nasza ruszyła na Kiejdany.

Zbliżając się do miasta, dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel jest tam w całej masie i oczekuje reszty swego wojska. Zatrzymaliśmy się, a nawet nieco cofnęli, aby z połączonemi siłami nieprzyjaciela boju nie wszczynać. Ponieważ drogi boczne były złe, więc nie mogliśmy liczyć na pomoc kolumny, która zbliżała się ku naszemu lewemu skrzydłu. Musieliśmy także, gdy nam doniesiono, że na lewym brzegu Niemna nagromadza nieprzyjaciel materyał do budowy mostu, wysłać tam jednę brygadę.

Dnia 22 czerwca (4 lipca), skoro z naszego prawego skrzydła nadeszła wieść, że korpus nieprzyjacielski, zwinąwszy obóz w Wiłkomierzu, wyruszył ku Poniewierzowi, i że nasza kawalerya Wiłkomierz zajęła, ruszyliśmy jeszcze tego dnia na Kiejdany. Nieprzyjaciel opuścił miasto, a jeszcze tegoż wieczora wykonała konnica nasza świetną szarżę, która popędziła ułanów nieprzyjacielskich na jego

piechotę, przyczem dostaliśmy w ręce kilku jeńców. Dnia 23 czerwca (5 lipca) wzięliśmy szturmem Euragołę, bronioną przez piechotę i artyleryę. Stamtąd ujrzeliśmy cały obóz nieprzyjacielski, rozłożony z tamtej strony Dubisy w oszańcowanej pozycyi. Natarliśmy jeszcze tego dnia. Ale ciężka artylerya, jaką nieprzyjaciel rozporządzał, osłonięta parapetami, zdemontowała nam kilka sześciofuntówek i byliśmy zmuszeni oczekiwać naszej ciężkiej bateryi, która niebawem nadeszła. Nią to ostrzeliwaliśmy przez godzin dwie ową pozycyę nieprzyjaciela, a tymczasem piechota przeszła przez Dubisę, rzekę dość płytką, i zajęła wzgórza, na których nieprzyjaciel się trzymał. Nareszcie lewe skrzydło zdobyło pozycyę nieprzyjacielską, odparło jego prawe skrzydło i po czterogodzinnej walce nieprzyjaciel cofnął się w całym porządku. Nad wieczorem naszliśmy go o 6 wiorst ustawionego w porządku bojowym i zaraz ruszyliśmy do ataku.

Po stu przeszło strzałach artyleryi naszej wykonał nieprzyjaciel silną szarżę na nasze prawe skrzydło, która chociaż się nie udała, zabrała nam jednak dość czasu. Gdy zmrok zapadł, nieprzyjaciel pociągnął ku Rosieniom. Następnego rana nasza przednia straż nie znalazła go już w Rosieniach; następowała nań aż do Szydłowa, gdzie zajął pozycyę.

Na prawem skrzydle dotarła nasza druga kolumna korpus nieprzyjacielski cofający się z pod Wiłkomierza, dopiero pod Poniewierzem, gdzie tylna straż jego wymieniła z wojskiem naszem kilkanaście strzałów armatnich i ogień ręcznej broni. Ponieważ pojąć nie mogliśmy, dlaczego powstańcy do Kurlandyi się cofają i ponieważ nas zapewniano, że krąży między nimi pogłoska, że się na wschód Wilna udadzą, Wilno obejdą i tak do Polski się dostać myślą, zatrzymaliśmy naszą armię, aby przez zwrot w prawo, oddział powstańczy, w tym momencie zniszczyć, w którym Wilię będą mieli do przebycia.

Dnia 27 czerwca (9 lipca) otrzymaliśmy wiadomość

od naszej przedniej straży, że dzień przedtem o świcie powstańcy napadli na Szawle; że jednak dla dzielnej obrony załogi musieli odstąpić i poszli do Telsz.

Wiadomość ta zmieniła plany. Wydano rozkaz wojsku wysłanemu do Wiłkomierza, by wracało i całą baczność zwrócono wyłącznie na lewe skrzydło. Raport ten oznajmiał nadto, że nieprawda, aby Chłapowski był mocno chory, jak nas o tem w Kiejdanach zapewniano, ponieważ jeńcy wzięci w Szawlach mówili, że widzieli go na koniu przy sobie w chwili wkraczania do miasta. O niego tylko dopytywaliśmy się, gdyż oprócz tego, że go nasz generał osobiście znał we Francyi, uważaliśmy go za jedynego zdolnego oficera z pomiędzy generałów, którzy weszli na Litwę.

Dnia 29 czerwca (11 lipca) dowiedzieliśmy się z raportu z Łuknik, że dniem poprzednio cały korpus powstańczy tamtą stroną przeszedł i poszedł drogą między Worniami a Rosieniami. Ruch ten zdradzał zamiar obejścia naszego lewego skrzydła, i zajścia nas z tyłu. Rozkazano natychmiast cofnąć się i obsadzić wszystkie punkta do Jurborga (Georgenburga). Tak stawało się niemożebnem, aby nam uszli. Gdyby się byli o jeden dzień spóźnili, to jak panu wiadomo, byłby ich generał Szirman od waszej granicy odciął. Nasze poczty w Niemoksztach zawiadomiły nas, że nieprzyjaciel w dniu poprzedzającym obozował w dolinie między Niemoksztami a Krożami i około wieczora ruszył do Fejdan i Wywierzan. Jego tylna straż została dognaną pod Powondyniami i zwróciła się przez Retow i Gorzdy ku granicy pruskiej. Dopiero 1 (13) lipca otrzymaliśmy raport, że jeden korpus 3—4.000 żołnierza liczący zaskoczył posterunek naszej piechoty w Mieszkutach i podążył na Wiłkomierz. Ponieważ okolica ta była ogołocona z naszych wojsk, może więc korpus ten bezpiecznie dojść nad Wilię albo nawet Niemen, ale nie ujdzie niewoli, gdyż już ze wszech stron posłano przeciw niemu oddziały.

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ II.

Wojna 1830—1831 roku 1
Instrukcya jen. Skrzyneckiego 118
Odpowiedź króla pruskiego 119
Plan jen. Chłapowskiego przedłożony jen. Giełgudowi po odstąpieniu z pod Wilna 121
Opis działań wojsk powstańczych na Litwie przez oficera sztabu jeneralnego rosyjskiego do oficera pruskiego 124

Biblioteka Wojsk. Akad. Tech.
im. F. Dzierżyńskiego

45.—
78328/24116

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WDP
36575/2